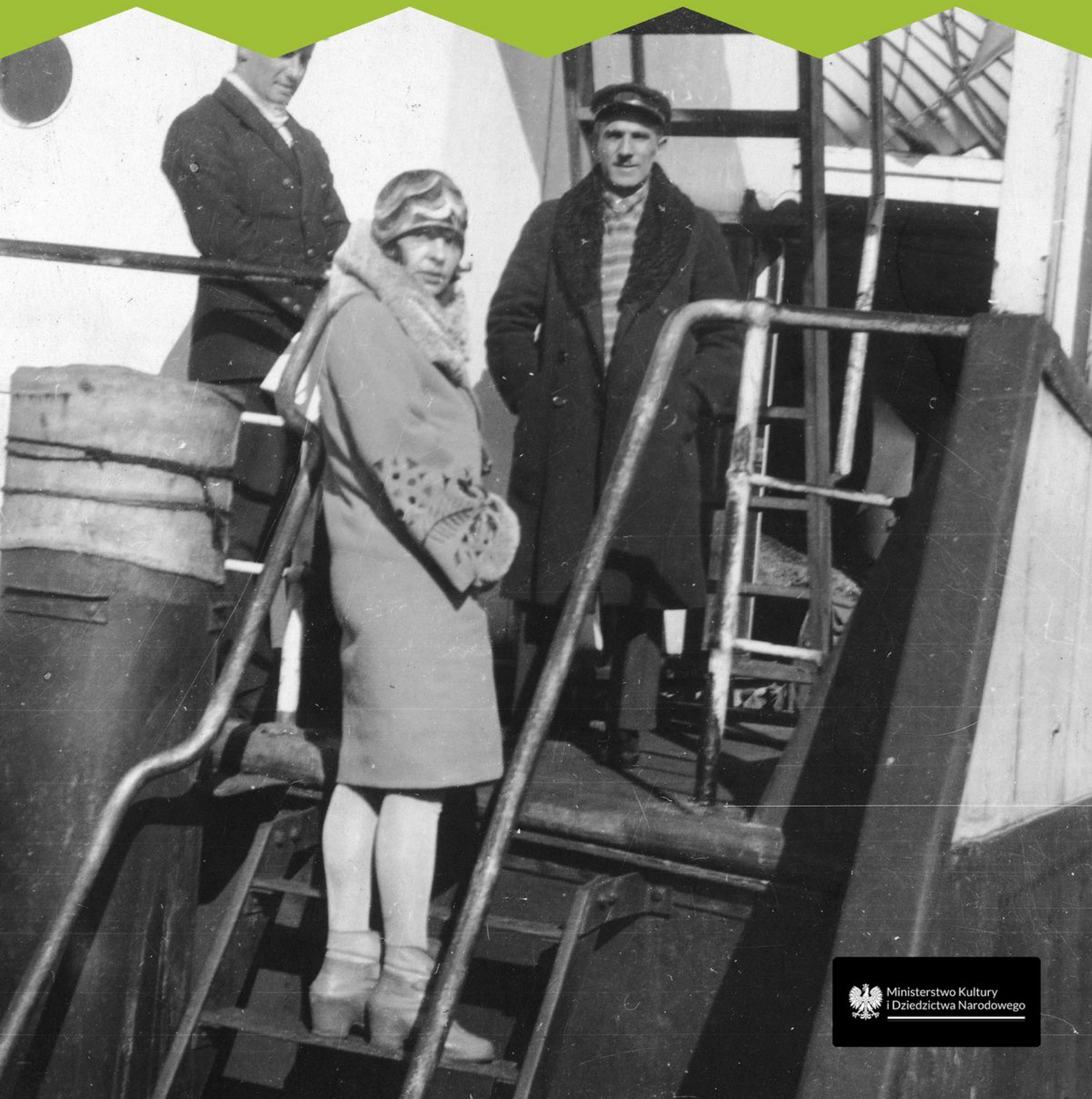


Pamiętnik morski



ZBIGNIEW UNIŁOWSKI

Pamiętnik morski

Buenos Aires, Puerto nuevo¹, Dársena B².

19 CZERWCA 1935

— Patrz pan, to on! — wykrzykuje moje zataczające się nieszczęście.

Patrzę za chwiejnym paluchem. Stoi tam w deszczu smutny, towarowy okręt popielatego koloru. Złote literki „Orient” tkwią na jego dziobie w zawstydzonej ironii.

— To mój... kochany... ja na nim... powiezie!

Ten jegomość zwisa mi na rękę już od godziny, to jest od chwili, kiedy wyszliśmy z pewnego baru na Leandro Alem. Siedział gdzieś w kącie przy olbrzymim kuflu piwa i podskoczył do mnie w chwili, kiedy rozmawiałem przez telefon.

— Panie, pan Polak?! Ja zaraz odjeżdżam, a pan Polak!

To był właśnie pan De, rodak, którego lekkomyślnie zgodziłem się odprowadzić do portu. Było mi wprawdzie po drodze, bo w tym właśnie porcie stał także i mój okręt, który dziś miał odjechać w daleką podróż. Przez całą tę chwiejną drogę towarzysz mój mówił o jakichś „świętych drzewach, lechących niebios”, o tym, że „istnieje jakiś specjalny wicher słoneczny”. Przystawał co chwila i dłonią zdawał się obmacywać niewidzialne kształty i dopiero w jego okrzyku: „Patrz pan, to on!” — odsłonił się traf naszej przynależności na dni następne. Bo i ja także mam jechać na „Oriencie”. Kiedy mu to powiedziałem, nie zdziwił się, tylko mruknął coś w rodzaju: zapisano to w przeznaczeniu... Wspinając się na okręt po wąskich schodkach, musiałem wziąć na siebie niejako część jego rozluźnionych ruchów. Wtaszczyliśmy się jakoś na pokład, towarzysz zaraz mi się gdzieś wymknął, a ja poszedłem do kapitana. Znałem go już z poprzedniej rozmowy. Ten kapitan towarowego okrętu fińskiego był to rzeczywiście ogorzwały, czerstwy marynarz o niebieskich oczach. Sam był też Finem i nosił jakieś trudne nazwisko. Popijał — rzeczywiście — whisky w towarzystwie kilku cywilów i zaraz polecił mnie roslemu stewardowi, który zaprowadził mnie do kabiny z dwoma łózkami, gdzie się już mieściły moje uprzednio przywiezione rzeczy. Steward zaraz odszedł przywołany przez kapitana dźwięcznym słowem: „stiuard-tii!” Nie chciało mi się siedzieć w mrocznej kabynie, więc zamierzałem właśnie wyjść na pokład, kiedy akurat wtoczył się pan De.

— Niech pan idzie... bez skrępowania... i tak się nabędziemy razem!

Wyszedłem na pokład i zacząłem się rozglądać. Deszcze często towarzyszą moim odjazdom. I teraz ludzie, woda, okręty i ospała krzątająca się na nich zniechlujona są ociekającym niebem. Wszystko takie jednakie; smutna, brudna blacha dnia roboczego. Woda siecze o wodę — na wodzie nieco kolorowego śmiecia: skórki pomarańczowe, rozdarte puszki, bzdurna deszczułka z kilkoma wystającymi gwoździemi i pospolitym fragmentem napisu: „made in...” — trochę zielska, cebula, nie cebula! — monotonne poruszanie się tego paskudztwa na mizernej fali. Oparty o burtę, słucham przeraźliwych gwizdów krępych, przysadzistych holowników. Pewien zasmolony flejtuch parowy rozdarł się bezczelnie i zuchwale, z poufałymi pogwizdami na dodatek. Po kamiennym brzegu włóczą

¹*Puerto Nuevo* — najważniejszy port morski Argentyny, położony nad zatoką Rio de la Plata, w miejscu gdzie rzeki Parana i Urugwaj wspólnie uchodzą do Oceanu Atlantyckiego. [przypis edytorski]

²*Dársena B* (hiszp.) — dok B. [przypis edytorski]

się opasani powróslami tragarze, na okręcie odbywa się ładowanie towarów, słychać głu-
che dudnienie, zgrzyt dźwigarów i nawoływania. W ciętym kroplami deszczu powietrze
twarze robotników mażą się, widać tylko bryły ciał opięte ceratą lub zwykłym łachma-
nem. Jedni ładują skrzynie lub wory, inni kręcą się, zaglądają tu i ówdzie — jałowy
widok! Wracam do kabiny, omijam głęboką jamę na pokładzie z brzuchatymi worami na
dnie, wchodząc do korytarzyka, spotykam czerwonego na twarzy kapitana z miną jakby
coś spsocił. Ano spsocił pewnie flachę whisky! Zbył nasze mijanie się kilkoma słowami
na temat deszczu i począł wspinać się po wąskich schodkach na górę, na ten tam swój
mostek kapitański. Pana De zastaję w kabinie. Pije koniak i je pomarańcz. Zgadza się
ze mną co do sloty, częstuje koniakiem i pyta, które łóżko chcę zająć: górne czy dolne?
Z godzinę ustępujemy sobie dolne łóżko. Pustą butelkę po koniaku pyrgnął przez ilu-
minator, ja wydobylem z walizki czerwone wino, on — parę jabłek, w końcu wyciągam
po prostu dłuższą zapalną, i dolne łóżko jest moje. Rozbieram się i zajmuję je. Jeszcze
tylko wyskakuję na chwilę, aby podeprzeć towarzysza przy wspinaniu się na górne łóżko.
Butelkę po winie pyrg! przez iluminator — i zasypiamy.

20 CZERWCA

Budzimy się już w ruchu. Na rzece La Plata o dziewiątej rano. Dopiero koło Montevideo
La Plata spotyka się z morzem, lecz i teraz jej 160 km szerokości sprawia, że mi wszystko
jedno. Opieszale wybieram się do łazienki. Trzeba tylko wyjść z drzwi kabiny i nacisnąć
ręką klamkę od łazienki. Ale ja na przejście tego metra się wybieram. To co wczoraj wypię-
ło się podczas sporu, owszem — dokucza! No i te dni poprzednie. Coś mię nakłania, aby
wysunąć język przed lustrem. Tak — „ponad śnieg”. Pan De pogwizduje tam na górze.
Nie bardzo melodyjnie. Po kąpeli wychodzę na pokład, niby pogoda, a nie! Woda wokół
mętna, niebo niezdecydowane, żółtawo na świetle, pustać, trochę wietrzno. Marynarze
w cyklistówkach i portkach z drelichu parają się z kłębami bardzo grubych lin, jeden
piłuje kawałek żelaza, i nic więcej tylko motor dudni, a okręt trochę się chwieje. Wra-
cam do salonu-jadalni, podłużny stół na końcu jest nakryty na dwie osoby. Ser, zimne
mięso i śledziki w puszcze. Słyszę w łazience plusk wody i parskanie. Dlaczego niektórzy
panowie parszczą tak straszliwie, kiedy myją twarz? W czym rzecz? Takie męskie prrsfuś!
prrsfu, prrsfu... Widać muszą tak! Siadam i rozglądam się. Przed sobą mam trzy ilumina-
tory i widzę przesuwający się maszt, trochę poziomych belek i dziób, czyli przód okrętu.
O, porusza się to za okienkami. Pod iluminatorami wzdłuż całej ściany przymocowana
jest kanapka, obita niebieskim pluszem, zresztą stół i przymocowane kręcące się fotele są
także pokryte tanim pluszem. W kątach dwie szafki, na ścianach parę nieładnych obraz-
ków olejnych: morze i mewy, morze i statek, morze i latarnia morska. Wchodzi pan De
z twarzą pełną charakteru, gładziutko uczesany, bez marynarki. Pokazuje mi język, ale
nie z kpiarstwa, tylko z wiadomych przyczyn. Puszka ze śledzikami: proszę, niech pan
będzie łaskaw! Ależ proszę... Steward w białej kurtce i okrągłej czapeczce wnosi półmi-
sek z duszonym boczkim i brunatną fasolą. Stawia to razem z dzbankiem czarnej kawy
i dzbanuszkim śmietanki. W wielu powieściach morskich czytałem, że stewardzi mają
kocie ruchy. I ten także jest elastyczny, miękki w ruchach i wysoki — koci. Nie zna hisz-
pańskiego i wielu innych języków, tylko fiński i ze dwadzieścia słów angielskiego. Jest
pewnie małowówny i dlatego nie uczył się języków. Wymknął się cichutko. Zapiliśmy
kawą śniadanie i przygotowujemy się do wyjścia na pokład. Towarzysz mój wciska głowę
w granatowy berecik, okręca szyję szalikiem, chwytając lornetę i wychodzimy.

Wychylamy się przez burtę — woda jest, rzeczywiście. Na widnokręgu zamglona
żółtość, na pokładzie pracują umorusane chłopcy, to wszystko. Pań nie ma na tym okręcie,
żadnych balów ani tańców także nie będzie — to już wiadomo. Myślę o tym, że trzeba
będzie się w tej podróży trochę skupić i nerwy... Tak, będę pisał dziennik, trochę dla
gimnastyki umysłu, a może coś się stanie? Jakaś burzusia maleńka: „osiem dni rozbitków
unosili kapryśne fale...”

Wracamy do kabiny, gdzie zaraz robi się ciasno, potracamy się, drobiazgi toaletowe³,
które chcemy jednocześnie ulokować w szufladkach, są przyczyną tłoku. Jeden pragnie
ustąpić miejsca drugiemu i obaj wyglądają jak podskakujące marionetki, uprzejme w ru-

³toaletowe (przestarz.) — toaletowe. [przypis edytorski]

chach. Wreszcie ja wychodzę z kabiny, staję w korytarzyku i nie wiem, dokąd pójść. Na pokład — wiadoma żółtość. Przenika mnie niepokojące uczucie co do następnych dni. Pójdę obejrzeć dokładnie okręt. Schodzę po żelaznych schodkach czy drabinie na przód okrętu. Tu z dołu widzę pierwsze piętro naszej kabiny i jadalni, jeszcze wyżej stoi człowiek przy sterze, w cyklistówce z daszkiem do tyłu, obok stoją kapitan i pierwszy oficer. Rozglądam się tu, gdzie stoję, na dolnym pokładzie, ale nic doprawdy interesującego nie zauważam. Jakies liny stalowe, porzewiałe maszyny, tryby w trybach, wysoko na maszcie mała ambonka — osławione gniazdo bocianie. Pokład z żelaza, z płyt. W przodzie okrętu mieszczą się kabiny marynarzy: właśnie wyszedł wąsal z pieskiem na rękę, taką wdzięczną suczką — kundelką jakąś. Usiadł gdzieś w kącie i zaczął się tam z nią pieścić czy drażnić. Znow włącz na śródokręcie, zaglądam do kabiny — pan De układa swoje rzeczy — idę dalej, schodzę na tył okrętu, ano znow nic; żelazna podłoga, luka towarowa obetkana brezentem i znow schodki na tył, tam też jakies maszyny i łańcuchy. Podobno ten „Orient” ma coś siedem tysięcy ton. Taki ciężki, bo z żelaza. Tak! Postanawiam się czymś zająć, włącz na górę, przy okazji zaglądam do czystutkiej hali maszyn, widzę ten tłok, co to nas tego... Proponuję panu De grę w karty, zgadza się i już po kilku minutach siedzimy naprzeciw siebie ze skupionymi minami w jadalni. Gramy w grę brazylijską „eskopa”, której uczyć nie mam ochoty na tym miejscu.

Z transu wyrывa nas steward z serwetą. Dwunasta godzina — obiad. Dużo konserw i zimnego mięsa. Kapitan zajmuje miejsce między nami, na końcu stołu. Rozmawiamy po hiszpańsku; spostrzegam — moje oko bystre w tych sprawach — że kapitan ma potężnego „kaca”, czyli że po prostu jest przepity, aż żal patrzeć. Pokornutki, skromny, aby mu tylko nie zadać czasem jakiegoś ostrzejszego pytania, za ciepłe słowo rzuca czyste spojrzenie swych niebieskich oczu. Wiem, że takiemu człowiekowi, który chlał kilka dni z rzędu, jak nasz kapitan, trzeba pomóc duszę wyciągnąć gdzieś tam z tyłka i umieścić na dawnym miejscu. Zaczynam się nagle skarżyć na swój kiepski stan, że nadużyłem trunków i jeszcze jestem niewyspany. Widzę, jak mu się ogorzała, marynarska gęba rozjaśnia, nabiera jakiegoś wyrazu. Słucha. Steward wnosi wazę zupy grochowej z kawałkami boczku i w ogóle mięsa. Dalej mówię o wstydzie, jaki człowiek przechodzi następnego dnia po pijaństwie, o tym, że byle głupstwo, byle przewina urasta u takiego skacowanego faceta do rozmiarów przestępstwa, i dalej: że wszystko wydaje się szare, człowiek się lęka panicznie choćby najdrobniejszej złej nowiny, rodzi się w nim nikczemna pokora, brak decyzji, zanik pamięci i w ogóle wydaje mu się, że tylko on taki stan przechodzi, nikt, tylko on właśnie. Ale to jest przecie choroba organizmu i nic więcej, trzeba ją przejść, przetrzymać. No, nareszcie wydobyłem jakiś uśmiech na tę twarz. Dostaliśmy jeszcze galaretki owocowej i czarnej kawy. A jakże, opowiedział nam wszystko dokładnie, gdzie był i jak czas spędzał. Ależ już tego powtórzyć nie mogę, to są jego sprawy i za nie teraz cierpi. Na razie jeszcze nie wiem, co to jest za człowiek, bo go zamaskowało to przepicie. Blondyn, kędzierzawy i błękitne oczy, krępy, grubawy trochę; są to niby dobre oznaki u mężczyzny. Zupa była wyśmienita.

Zaraz po kawie kapitan chwycił czapkę i pognął do siebie, na górę, a myśmy powrócili do gry i do kopcenia papierosów. Obiegło nas stado zwykłych, pokojowych much. Dym ich wcale nie zraża. Mijają z wolna godziny, przegrywam bardzo, o piątej steward przyniósł kawy i piernika. Podwieczorek. Pod wieczór dowiedzieliśmy się, że jedzie z nami sternik urugwajski i że nie wyjechalimy w nocy, tylko dziś wczesnym rankiem; gdzieś tam usiadł Urugwajczyk i przeprowadza nasz okręt przez te wody. Ściemnia się, i z daleka jarzy się Montevideo. Znam to urocze miasto i trudno mi je będzie zapomnieć. Podjeżdża łódź motorowa i zabiera sternika. Wieczór zrobił się nagle ciepły, przyjemny. Na morzu — w stronę miasta — błyskają niebieskie i czerwone światełka. Jakiś statek sapie w oddali. La Plata już za nami, teraz prawdziwe morze. Szybko zjadamy kolację, bez kapitana, bo zajęty. Te same konserwy (doskonałe) i befsztyki z groszkiem i kartoflami na gorące danie. Herbata. Wracamy na pokład. Montevideo słabo już mruga światełkami. Na niebo wysuwa się ogromny, niezdrowo żółty księżyc i stwarza nastrój, jaki dają dalekie morskie podróże. Motor pracuje, lecz nie ma ci ciszy, wydaje się ona oddzielona. Myśl wlecze się leniwie, jakies wspomnienia, smutek łagodny, zapatrzenie.

2.1 CZERWCA

Budzę się w chwiejbie. Przewalam się w skrzyni mego łóżka z boku na bok jak belka. Z góry słyszę tłumiony zachwytem głos:

— O, cholera, jaki ładny widok!

Ubieram się i wychodzę na pokład. Ładnie jest — rzeczywiście. Morze: rozfalowana zieleń przecinana zygzakami bieli. Widać zamazany daleki brzeg brazylijski. Rzeński powiew skowyczy mi nad głową, od słońca idzie przezczysta jasność. Pokład świąteczny opustoszały, czasem przemknie marynarz. Na wietrze, nad okrętem, rzadko poruszając skrzydłami, lecą mewy, chciwie rozglądają się po bokach. Stoję tak przy burcie, wiatr mi wzdyma nogawki spodni, rozmyślałam o tym, jak się teraz czuję, i słyszę w tyle głos pana De. Stoi w drzwiach, wychylił głowę i patrzy wokół, jakby się obawiał ataku samolotów bombowych. Kiwa palcem. Idę i pytam:

— Co?

— Chodź pan do salonu, to panu coś pokażę.

Idziemy. Pokazuje mi palcem w iluminator. Wodzę pustą fragment okrętu i morze.

— No co — pytam.

— Ano nic, ładne, prawda?

— To po to pan mnie wołał? Przecież ja tam miałem tego samego więcej!

— Ano, z tej strony...

Spojrzałem mu bystro w oczy i usiadłem do śniadania. Ściany skrzypią i obrazki wadłowo i wolno się przesuwają. Sos z mięsa przelewa mi się także na talerzu. Jedząc, zajrzałem jeszcze raz w oczy panu De. Odezwał się:

— Wie pan, że ja się tutaj źle czuję. Jestem zdenerwowany, niepokój mnie ogarnia.

— Przyzwyczaj się pan — odpowiadam zdawkowo.

Milczymy, nie czujemy kontaktu ze sobą. Wyciągamy maszyny do pisania i ze dwie godziny piszemy listy. Później siadamy do kart.

— No, nie, nie, nie! — wołam. — Już pan położył tę dziewiątkę, już nie można się cofać!

— Ale jak to!

— No, nie można, i już.

Gramy dalej. Dzisiaj kapitan — inny człowiek. Bledszy, cera świeższa. Je z apetytem, opowiada pulchne dowcipy z pointą na początku lub w środku. Ale dobrze, że już przyszedł do siebie, boby jeszcze nas zawiózł czort wie dokąd. Dzisiaj na obiad zupa kartoflana. Jeszcze smakuje. Na pokładzie wiatr nadziewany mewami. Brzeg brazylijski majaczy pustką i dzikością. Siadamy do kart. Coś tu z rozrywkami kiepsko. Kolację jemy z kapitanem, bzdurząc o tym i owym. Wieczorem niebo gwiazdziste, ale jakieś wymięte, zrywa się chamskie, rozjuszzone wichrzysko, morze łyska pianą, jest dosyć niemiło. Stoimy oparci o balustradkę nad przednim pokładem i w milczeniu palimy papierosy. U kapitana na górze zapłakał smutno dzwonek, na dole z przedniej kajuty wypelzło światło, ktoś zamajaczył na tym świetlnym pasie i podreptał na górę. Przykro. Myślę, że mi trudno będzie w tym codzienniczku być szczerym, a tu akurat po dzwonku i tej posturce, co poszła na wezwanie, poczęły mnie gnębić jakieś tęsknoty, opanował mnie przykry nastrój. Także pan De ma luźną minę, zauważyłem to w kabinie, kiedyśmy się „udawali na spoczynek”.

2.2 CZERWCA

Wietrzyk słaby, dzień słoneczny, dużo mew różnych gatunków. Siadają na falach jak kształtne, żywe łódeczki. Pagórkowata dal morska kipi w słońcu, grzywki na falach, jak białe zwierzaczki, ganiają się po wodnym stepie. Rano przewaliły się kilkakrotnie nad powierzchnią wody dwa delfiny, widoczne prawie w całości. Morze jest zuchowate i jednocześnie poważne; wydaje mi się, że to jest coś żywego, ma jakiś wyraz tego, co żyje. Widać zamglone pasma brazylijskich Sierra do Marr⁴. Dzień mija spokojnie w cichej kontemplacji karcianej i bez — wprawdzie dżentelmeńskich, ale zawsze — sprzeczek.

⁴Sierra do Marr — pasmo górskie w południowo-wschodniej Brazylii, rozciągające się wzdłuż wybrzeża Oceanu Atlantyckiego. Najwyższe szczyty liczą nieco ponad 2 tys. metrów. [przypis edytorski]

Pan De nie zarysował mi się psychologicznie ani razu. Jest skupiony, mało mówny i wygrywa forszę z góry przeznaczoną na wspólne puszczenie w najbliższym porcie. Żywność była dobra, ale już znana. Cały wieczór przeszedł nam na rozmowie z kapitanem o nagich kobietach.

23 CZERWCA

Usadził się we mnie tępy leniuch, zanik inicjatywy (na co tu inicjatywa?), myśl oleista, nieużyteczna. Drugi oficer pożyczył mi pudełko z tekturowymi wycinankami, mam z tego ułożyć jakiś obraz. Próbował pan De, ale odszedł zniecierpliwiony i powiedział, że przecież to niemożliwe z paruset sztuk złożyć jakiś obraz. I mnie się też wydaje, że to jest niemożliwe. Za to w karty rżniemy od rana do nocy; ja bardzo przegrywam. Czasem powiemy sobie coś z przekazem, ale zachowujemy pozory. Łażę po statku w „wolnych” chwilach, wsadzam głowę w różne otwory, szukam wrażeń. Wymyśliłem wystawianie na samym dziobie okrętu. Siadam okrakiem, trzymając się stalowej liny, i patrzę przed siebie lub w dół, tam, gdzie dziób pruje wodę; jest gęsta, na dwa, trzy metry przed atakiem spokojna, jakby z rezygnacją przygotowywała się do ciosu, po którym — spieniona — opływa boki okrętu i wówczas mijana, wygląda jak marmur z białymi żyłami. Do marmuru porówna poeta — człek prosty do mydlin. Kiedy znów patrzę przed siebie, doznaję uczucia niesłychanych możliwości, wyimaginowanej własnej potęgi! Raz mi się to morze wydaje smutną przestrzenią, kiedy indziej znów — cmentarzyskiem, krańcem niewiadomego!... Różnie mi się wydaje! I znów wracam do kart.

Nagle, bez żadnej zapowiedzi, ukazują się na pokładzie trzy małe kotki. No, przecież to będzie kapitalna rozrywka. O, już się bawią; to wystrzeliwiają się w górę, to znów przyczajone pelżają ku sobie; piorą się po pyszczkach łapkami i znów psfiut — rozpryskują się w powietrzu. Jeden jest biały w czarne plamki (najinteligentniejszy w podchodach — już zauważyłem!), a dwa czarne w białe plamki. Puszyste, cudne kłębki. Który tylko z marynarzy przechodzi, poświęca im kilka minut: poskrobie palcem lub patykiem. Usadowały się na brezencie pokrywającym środkowy luk. Mają tam jakby arenę o paru kwadratowych metrach. Dziś święto fińskie, marynarze stoją w kolejce i steward nalewa im po dużym kieliszku wódki. Obcierają usta rękawem i odchodzą. Nasz obiad też bardziej urozmaicony: łosoś z puszki i pasztet. Pijemy i wódkę fińską; takie same świństwo, jak i nasza — na bezdroża sprowadza. Podczas jedzenia myślę o kotach i jednocześnie słucham opowiadania kapitana o jakimś mordobiciu w Singapurze. Przez ścianę, u drugiego oficera w kabinie, gra patefon rzewne szwedzkie melodie. Odmawiam wódki. Zaraz po obiedzie chcę wyjść na pokład, a tu mnie pan De zatrzymuje i namawia do kart.

— Nie, ja do kotów idę — powiadam.

— Do jakich znów kotów? Siadaj pan tu!

— Nawet pan nie wiesz, że koty są, wędzisz się pan w tej kabinie — mówię. — Przewietrz się pan trochę, podrażnij ze zwierzątkami.

Idzie ze mną, zaraz też kombinuje jakiś patyk na sznurku, i zabawialiśmy się z tymi kotkami z kilka godzin, aż do zmierzchu. Wieczór się zrobił bezgwiazdny, niebo czarne, daleko widać żółte światelko mijającego nas okrętu. Morze huczy, pod nogami u palaczy zgrzyta szufla z węglem.

24 CZERWCA

Obudziłem się wcześniej, bo słońce krwawiło się w naszej kabinie, pewnie wschodziło. Patrzę przez iluminator, prawda — wschodzi słońce i widać jakiś łód. To pewnie Santos⁵, bo kapitan mówił nam wczoraj, że zatrzymamy się w tym porcie. Byłem w Santos przeszło rok temu i teraz chętnie odwiedzę to miasto. Ubrałem się i z pokładu patrzę na bardzo piękne rzeczy. Czerwona, wesoła posoka od słońca prześwieca i różowi rzadkie, postrzępione mgły, wokół rysują się brunatne i ostre kontury gór, woda w tej zatoce spokojna, zabarwiona różem i seledynem. Powoli dojeżdżamy do portu, okręty towarowe i pasażerskie porykują chrapliwie, łopocą flagami różnych narodowości. Wyniośle odcina się od towarowej hołoty parę wspaniałych pasażerskich okrętów. Wracam do kabiny,

⁵Santos — miasto w południowo-wschodniej Brazylii, w stanie São Paulo, nad Oceanem Atlantyckim. [przypis edytorski]

obaj jesteśmy wzajemnie wobec siebie uprzejmi, podajemy sobie różne rzeczy, pan De pożyczył mi spinek, bo gdzieś mi się zapodziały własne. Sztafirujemy się od stóp do głów: golenie, białe ubranka, paznokietki, flota do portfeli i na ład. Port rzeczywiście kawowy, bo ziarna kawy trzeszczą pod naszymi krokami, pełno jej na ulicach w pobliżu portu. Ale ruchu wielkiego nie ma, już się skończyły złote interesy z kawą brazylijską. Kawę się pali, wysypuje do morza. Zbliżamy się do centrum miasta. Na ulicy ruch powolny: śniadzi i chuderławi Brazylijczycy nie śpieszą się, przesiadują w kawiarniach o dużym wejściu bez drzwi, palą i piją kawę w małych filiżankach. I my wołamy o kawę. Śmieją się ci Brazylijczycy! — nie wymawiając — żywiłowo — doprawdy! Gapimy się na placyk. Na placyku słońce, wietrzyk i palmy. Życie ranne; spokój, trochę handlu. Czasem lekko odziany człowiek o szczęśliwym obliczu przepchnie wózek z jarzynami, roześmiany gazeriarz przewierci się przez plac, tuż przed nami ciemnolicy starzec z białą bródką stoi przy swym łóżku i sprzedaje ćwierćkilowe ciasteczka z lukrem.

Płacimy za kawę, załatwiamy sprawunki, wynajmujemy elegancką taksówkę na godzinę i — dwaj biali wytwornisie — jedziemy na plażę. Umawiamy się, że przez kilka godzin będziemy żyli na wysokiej stopie. Jedziemy dość długo szerokimi ulicami o kolorowych, piętrowych willach, docieramy do morza i jadąc brzegiem, mijamy tłumy ludzi w kąpielowych kostiumach. Kończymy spacer przed umówioną godziną i wchodzimy do wielkiej sali restauracyjnej luksusowego hotelu. Prawie wszystkie stoliki obsiadłe kobietami i dzieciarnią. Mężczyzn mało — pracują. Żadnych konserw i zup! Koniak, raczki morskie w majonezie, duszone ostrygi, dwa bify, czerwone wino, owoce, kawa i jeszcze koniak. Tak. Rozgadaliśmy się jak po długim rozstaniu. Co to znaczy przestrzeń, ład. I to o Łodzi rozmawiamy, że tyle dymu w tym mieście i Żydów tyłu, i proletariatu. Wychodzimy na ulicę i siadamy na tarasie. Tu się odbywa cała promenada dziewczątek brazylijskich. Duże, ciemne oko, smaczne, pełne usta i chód... I jaki chód!... Płacimy whisky, moja propozycja jest taka: zajrzeć na okręt, dowiedzieć się, kiedy odjeżdżamy, i wrócić do miasta.

— Ależ panie, tyle drogi — mówi pan De. — Jak pójdziemy pod wieczór, to i tak będzie za wcześnie!

Ale ja się uparłem i powiadam mu, że przecież obaj nie wiemy, kiedy okręt odjeżdża. No, ładnie byśmy wyglądali. Już schodki chcieli podciągać. Kapitan, przykro trzeźwy i opanowany, powiada, że byłby odjechał bezwzględnie.

— Nie dostaliśmy żadnego załadowania, i tak czekaliśmy na panów.

Po chwili wyje nasza syrena. Ma głos taki, jak gdyby Bóg wie ile czasu miała ryczeć, a tu zaczyna i już urywa. W kabinie przebieramy się w ponurym milczeniu.

— Wiem, jakies pan miał plany — mówię zjadliwie.

Ach, odpowiedź, istny karabin maszynowy:

— Pan wie, jakie ja miałem, a myśli pan, że nie wiem, jakie pan miał... miał pan takie same jak i ja, też panu dziwki były w głowie...

No, nie dziwię się, już jesteśmy na okręcie. Odjeżdżamy, w iluminatorze widać, jak się przesuwiają różne rzeczy na ładzie. Stoimy na pokładzie. Pan De częstuje mnie papierosem, ja mu podaję płonąca zapalkę. Słońca już nie ma, jest popielato i smutno. Wyjeżdżamy na pełne morze, okręt zaczyna się silnie przechylać, parno, w ustach niesmak.

25 CZERWCA

Warto żyć. Ranek jakby muzyczny, zdają się grać — okręt, morze i nawet słońce. Jakies igry dzieją się na wodzie, wiatr ciska rozpyloną falę na dolny pokład, opryskał mnie nawet, ale to żarty, zabawa. Pierzchły wczorajsze ciemne myśli. Po śniadaniu kładę się na brezencie, koty łażą po mnie, błogo mi. Później okazało się, że te koty mają matkę. Przyszła wiotka, rozkołysana i poważna. Małe ją opadły, trochę się broni, wreszcie kładzie się i pozwala ssać. Z przymrużonymi oczami liże kark białego. Osamotniony, siadam z moim towarzyszem do kart. Mamy już taką taktykę, że jeśli jeden proponuje, ten drugi niby się ociąga: „No... mogę, ale niedługo”. Rozgrywaliśmy bardzo zawzięcie partię, bo zaraz po obiedzie pogrążyliśmy się z powrotem w grze. Dopiero, kiedy steward wskazał nam coś przez iluminator, przzerwaliśmy. Tak, wjazd do Rio de Janeiro, to było piękne bez żadnej błagi. Przygniatająco wyglądały skłębione w niebieskawej dali góry, groźnie

spiętrzone nad jakimiś białawymi budynkami. To wszystko minęliśmy, skręciliśmy w lewo i dopiero teraz wywaliło się przed nami cudowne widowisko zatoki rioskiej. Mijamy od prawej strony posępny, kamienny fort z lufami armatnimi w otworach, od lewej — wielki, betonowy pagór-wyspękę, z jedną armatą na powierzchni. Te dwa forty, niby brytany, warują przy wejściu do Brazylii. Nasz okręt wlecze się, jakby nie miał odwagi zbliżyć się do portu. Wreszcie stanął i czeka. Daleko widać wciśniętą między łąd skalisty cichą, wodną przestrzeń. Już i późno się zrobiło, pąsowe słońce przylepiło się do czubka ponurej skały i raptem, jakby je kto mroczną dłonią spoliczkował, wpadło gdzieś w morze. Nieprzyjemnie zieleniało to morze, przycichły odgłosy i miasto zaczęło pstrzyć się światłami. „Nasz” stoi jeszcze w miejscu, podjechała motorowa łódeczka z kilku panami, którzy tam siedzą u kapitana. Steward ciągle nosi lód na górę, zaniósł i drugą butkę whisky. Po lewej stronie mamy dwa olbrzymie bloki górskie: Paô de Assucar i Corcovado z oświetlonym błogosławiącym Chrystusem na szczycie. Czub Paô de Assucar także zajaśniał, oderwał się od niego mały świetlny punkt i płynie w dół, ku miastu. To wagon kolejki napowietrznej. Teraz, tam wysoko, w lunach i kolorowej gęstwie nieba błogosławiący miastu Chrystus wygląda efektownie, jak zjawa nieziemska. Miasto już się żarzy mnóstwem światełek, tęskna cisza krąży nad zatoką, koło okrętu lawirują ciekawskie łódki, wzdłuż brzegu, warcząc głucho, ślizga się motorówka.

Wesolutki od „tronku” kapitan schodzi w towarzystwie kilku panów i zawiadamia nas, że okręt nie przybije do brzegu i że jeśli mamy ochotę pojechać do miasta, urzędnicy portowi zabiorą nas ze sobą. Szybko uzupełniamy garderobę i schodzimy do łodzi. Po dziesięciu minutach jesteśmy na brzegu, lokujemy się w taksówce, która nas wiezie przez szeroką, ruchliwą Avenida Rio Branco. Zapach benzyny, muzyka z suto oświetlonych kawiarni wysuniętych na chodniki, piekielny ruch kołowy — wszystko to oszołamia. Mijamy upstrzoną neonami dzielnicę kinoteatrów, wjeżdżamy na bulwar Praia Flamengo, po lewej stronie mieni się ściśnięte zatoką morze, na przeciwległym brzegu luskają wielkie reklamy „Firestone” i „Good Year”, w końcu wjeżdżamy na Praia de Botafogo, skręcamy w cichą palmową uliczkę i po kilku minutach zatrzymujemy się na rua Pirez de Almeida, przed domem, gdzie mieszka mój dobry znajomy, Polak, p. Valeri.

Nie dziwi go zbytnio nasz przyjazd, z miejsca idzie do kuchni, aby przygotować nam kolację, zajmuje się tym osobiście, bo mieszka po kawalersku i służącą ma tylko do południa. Rozmawiamy z nim w kuchni, ale też ta kuchnia czyściutka — salonik. Wspominamy, bo przecież rok temu mieszkałem w pokoiku o piętro wyżej, przez dwa miesiące, u tego p. Valeri. Łapię klucz i biegnę do pokoiku, gdzie przechodziłem pierwsze katusze tęsknoty za krajem. Wzgórze tuż przed oknem wyczyścili z krzewów, poza tym nic się nie zmieniło. Wracam na dół, myszkuje po szafkach i wyciągam znajomą mi butkę z preparatem p. Valeri — dobrą wódkę. Pijemy w kuchni, stojąc, podkradam z patelni kawałki odgrzewanego gulaszu. Zmienił mi się ten p. Valeri, nie chce pić, powiada, że chory, że ma dużo pracy, że jutro musi rano wstać. Widać, już mu zubożyłem. Ale kolację jedliśmy, co było do wypicia, tośmy wypili. Żegnaj, dobry staruszkule! Nie chcesz pójść z nami, niedobry ty! Znam go jako pocziwca, ale może rzeczywiście chory, przy tym miał tam jakieś swoje nieszczęścia, chce się nas pozbyć, denerwuje go pewnie nasza wesołość, młodość i podróże. Bądź zdrow, ale chyba nie zapomniałeś, jakeśmy to urządzali uroczę przyjęcie, jak Finia z gorąca płakała, jak!...

Tak już widać jest, że na łądzie z panem De czujemy dla siebie przyjaźń i sentyment. Każdy pomysł uzyskuje zgodę i jest dobry. Każemy się wieść szoferowi do kasyna na „Urce”, w taksówce mówimy sobie miłe rzeczy, w głowach szumi, i miasto jest piękne. W hallu kasyna rozchodzimy się z tym, że mamy się spotkać za godzinę na tym miejscu. Wszystkie stoły z ruletą są obłożone, z trudem przeciskam się do gry. Stawiam dwadzieścia milrejsów na czarne i wygraną razem ze stawką — na osiem numerów. Trafiam siódmką i sto osiemdziesiąt milrejsów. Udało się, siadam przy stoliku z baccarat. Po kwadransie przegrałem trzysta milrejsów. Idę do hallu i każę sobie podać whisky. Podchodzę do przechodzącego właśnie malarza, Polaka Rechowskiego. Cóż, u diabła! Ten też wita się ze mną jakoś chłodno, a przecież rok temu byliśmy w wielkiej przyjaźni. Zapraszam go do stolika, ociąga się, że kogoś szuka, wreszcie siada. Nie, nie pije nic — nerki. Pytam wręcz, dlaczego p. Valeri i on są dla mnie obojętni?

— Ależ co znowu — odpowiada. — Tutaj, wie pan, nie ma żadnych przyjaźni, ludzie o sobie szybko zapominają, zresztą Polacy na emigracji nienawidzą się wzajemnie, zwłaszcza w miastach, to znana rzecz. To już jest takie zjawisko; rodak przypomina o ojczyźnie i pobudza tęsknotę, której każdy się wstydzi. Tu przyjaciół pan nie znajdziesz, człowiek oderwany od kraju spada się szybko, nabiera fikcyjnego poczucia pewności siebie, a gdzieś od środka gnębi go poczucie nieprzynależności. Zresztą, napiję się z panem.

Nalewam mu i w tej chwili przysiadła się pan De. Jest podenerwowany wygraną dwustu milrejsów. Napełnia sobie szklankę i zwierza się, że jest w rozterce, bo nie wie, czy grać dalej, czy zaprzestać. Malarz smutnieje i nagle odchodzi. Nigdzie spotkanie z rodakiem nie sprawiło mi przyjemności, ale przecież ten wypisywał wiersze na moją cześć i płakał, kiedy mu opowiadałem o zimie w Polsce. Cóż, u pioruna — taka nagła zmiana uczuć!

— Idziemy na dancin! — proponuję energicznie poruszonemu wygraną panu De.

Pójdzie. Kiwam na kelnera i chcę płacić za cztery whisky, ale sympatyczny garson nie chce przyjąć pieniędzy, powiada, że jesteśmy gośćmi kasyna. Nie, to nie! Daję mu niezły napiwek i ruszamy do budynku naprzeciw, gdzie zajmujemy stolik tuż koło parkietu. Na ścianach wymalowany jest zimowy pejzaż wsi polskiej czy rosyjskiej, wystające ze ścian gałęzie drzew przyprószone są śniegiem, oddychamy sztucznie chłodzonym powietrzem. Wygląda to dość kiczowato, ale widać, że lokal jest pierwszorzędny, muzyka dobra, młody człowiek przyjemnym głosem towarzyszy orkiestrze, śpiewając po angielsku. Popijamy ostro, pragniemy się weselić, ale nie ma z kim. Zaczynają się produkcje artystyczne, cztery śliczne Niemki śpiewają wesołe rzeczy, prawdziwa i ładna Hiszpanka tańczy tango argentyńskie i gra na kastanietach. I jeszcze jakiś smutny śpiew. Wychodzimy, znów jedziemy taksówką do podejrzanego kabaretu „Asirio”. Przy stoliku towarzyszą nam ciemnolice rozkapryszone dziewczęta, przyzwyczajone do gestu Europejczyka. Zamawiają sobie jakieś „refresco”, próbują trochę: mrożone wino z owocami. Dziwię się, że nie chcą czegoś droższego: koniaku lub szampana. Znów jakaś Concha śpiewa tango. Przy wszystkich prawie stolikach Brazylijczycy piją piwo lub oranżadę, tylko my i jakiś samotny Anglik nie zadowolamy się byle czym. Postanawiamy zmienić lokal. Okazuje się, że „refresco” naszych dziewcząt jest znacznie droższe od szampana. Płaci pan De — wygrał przecież.

Plac jest opustoszały, kasyno Beira Marr mający w świetle księżyca, powiew od morza porusza liście palm; jest ciepło i nastrojowo, a dwaj Polacy tajemniczo podążają we chwiejbie między romantyczne wille zacisznej rua⁶ Catette. Przed bramami wystają księżycowi brazylijscy miłośnicy, na próżno starając się dostać do wnętrza. Tabliczki z napisem „Pension Artistic” kusząco mienią się w seledynie księżyca. Szumią palmy, ciche szepty zdają się fruwać w powietrzu. Tu i ówdzie z wnętrza miłosnych schronów doleci przytłumiony śpiew, okrzyk lub melodia. Uporczywie pukamy w bramę mauretańskiej willi; wyczekująca młodzież z sąsiednich bram ironicznie spogląda na te wysiłki. Pora jest późna, ale my koniecznie pragniemy towarzystwa kobiet, muzyki. W końcu z balkonu naszej willi wychyla się senhorita w czerwonej sukni. Powiadamia nas, że wszystkie damy są zajęte, możemy tylko dostać coś do wypicia. Zanim młodzieńcy z przeciwka dobiegli do bramy, już byliśmy we wnętrzu. Zajmujemy samotny stolik w kąciku na pierwszym piętrze. Sąsiadujemy z jednym tylko zajęтым stołem, przy którym siedzi liczne towarzystwo. Cztery ładne, lekko pijane dziewczyny w towarzystwie kapitana brazylijskiej marynarki wojennej i dwóch cywilnych brunetów. Obaj jesteśmy bardzo rozmarzeni i mówimy o polskich lasach szpilkowych, gdzie można się spokojnie położyć, bez obawy żmij i wszelkiego robactwa. Albo zagajniki! Słysząc:

— Piję na cześć młodych, odrodzonych Niemiec, których nasi sympatyczni sąsiedzi są przedstawicielami.

Odwracamy głowę w stronę toasty. Kapitan, w rozpiętej kurtce, z wzniesionym kieliszkiem koniaku, mówi to do nas i trochę się chwieje. Podnosi się pan De i powiada, że wprawdzie jesteśmy Polakami, ale to nie przeszkadza przyjąć nam ten toast.

⁶rua (port.) — ulica. [przypis edytorski]

— Ach, to wszystko jedno — odpowiada kapitan i idzie w naszą stronę. — Przecież jesteście teraz w przyjaźni z Niemcami, jestem kapitan Mario do Amaral, siadajcie z nami, camarados.

Nie mamy sił odmawiać, przedstawiamy się towarzystwu i zajmujemy miejsca. Rozpoczynają się śpiewy chóralne i solowe tańce, przemówienia i toasty. Dziewczęta razem z szefową zapominają o swym zawodzie i zachowują się jak na jakimś imieninowym przyjęciu. Piękny służący, Manuelo, sentymentalny walet pikowy, próżno szukał flirtu. Obecni byli anormalni — wyróżniali kobiety. Manuelo podawał napoje i nakręcał patefon. Powoli świt zaczął walczyć o lepsze z lampami, goście jak kociaki porozłazili się po apartamentach, my zostaliśmy z szefową i Manuelem.

Opuszczamy w czystości uroczy lokal i na ulicy z rozczuleniem wspominamy nasz okręt. Poważni, pełni planów na „nowe życie” idziemy pieszo do portu. Hiszpan w granatowym, „poncho” proponuje przewiezienie nas na okręt. Jego łódka jest już wprawdzie solidnie załadowana pomarańczami, ale jakoś się lokujemy i ruszamy. Mam dziwną ochotę opaść na szmaragdowe fale Atlantyku, ale pan De podaje mi obronę pomarańcz i wskazuje na „Orient”. Widzę — nasz kochany, jaki smukły i zgrabny! Tylko maławy trochę. Włazimy na pokład i rozglądamy się po zatoce. Ach, jak ładnie, jak ładnie... prawda, jak ładnie!...

26 CZERWCA

Nie pomogła aspiryna, kąpiel i woda sodowa. I słońce, i ładna zatoka nie pomaga! Już nigdy... ostatni raz! Przechodzę wszystko to, o czym parę dni temu opowiadałem kapitanowi. Znowu pojechaliśmy do miasta, robimy sprawunki, jesteśmy małowówni, powypaleni. Po południu wracamy na okręt. Odjeżdżamy. Żegnam Rio bez żalu — za ładne, za wiele dobrego naraz. Jedziemy. Za nami pozostaje kolorowy widok miasta, portu, okrętów, Corcovado i Pão de Assucar. Godzina piąta i pół. W przesłonecznionej mgłę dwie palmy samotne po prawej stronie; wszystko znieruchomiałe, tajemne. Daleko sterczą kły górskie i płynie statek pod smugą dymu. Stado mew, barwna wysepka, na wysepce białe domki pośród palm. Morze pomarszczone, wylaniają się wielkie dźwigary i samotna boja. Znowu jakiś cudowny, zielony pałacyk z wieżyczką pośród siedmiu palm. Ruszamy szybciej, po prawej stronie mija nas okręt pasażerski, punkcik kolejki napowietrznej zbliża się do szczytu Pao de Assucar, miasto zakwita światłami, migocą reklamy na dalekiej Copacabana, mijamy jeszcze kilka szczytów górskich, silny powiew zaskuczał cichutko, postrzępił się w olinowaniu, znikła ziemia — zahuczał ocean.

27 CZERWCA

Dość tego, zabieram się do pracy! Jaka ona tam jest — ale trzeba się wziąć w karby. Bal na Catette czuję jeszcze do dziś w kościach. Dzień dzisiejszy przewąłęsam, przegram w karty, przebaluję z kotami. Jest pogoda, pan De pisze listy do rodziny i niechętnie rozmawia. Późnym wieczorem świeci Wenus jak mały księżyc. Kładzie pasmo światła na spokojne, oleiste morze. Kapitan przedstawił nam telegrafistę. Ma twarz jak niemłoda wieśniaczka i babski głos. Opowiedział, co robił w Rio. Wiadomo — zachlewał się.

28 CZERWCA

Od wczesnego rana stoimy w zatoce Victoria. Miasto małe, dość egzotyczne i ruchliwe. Pan De chory na żołądek; pije wódkę z papryką. Upał daje się we znaki, w ustach niesmak i szumi w głowie. Idziemy do znajomka pana De, rzeźbiarza Bogdanowa. Gruby, schorowany Rosjanin — kieruje robotami w katedrze. Nic nam ciekawego nie powiedział. Mówił o swej chorej wątrobie i nawale pracy. W te jego rzeźby dobrze by się strzelało do celu. Żegnamy go.

— Doswidanja, drug moj, doswidanja?⁷

Wąłęsam się po ulicach, pijemy piwo, to znowu kawę — bardzo ciepło. W końcu kupiliśmy cygar, papierosów i wróciliśmy na okręt. Ruch tutaj wściekły, ładują kawę, zgrzytają łańcuchy, kurzu pełno. Kilku marynarzy w spodenkach kąpielowych skacze do

⁷Doswidanja, drug moj, doswidanja (ros.) — do widzenia, mój przyjacielu, do widzenia. [przypis edytorski]

morza. Pokrzykują swymi twardymi, fińskimi słowami. O trzeciej po południu opuszczamy Victorię. Odjazd znów — piękny. Już nie będę wyliczał tych cudów, bo co komu z tego, skoro sam nie widzi. Uwierz mi to!? Wjeżdżamy na pełne morze, wita nas znajomek atlantycki — „łagodny słony powiew”.

Te koty zabierają mi mnóstwo czasu, który im z chęcią poświęcam. Wieczór jest dżdżysty i wilgotny — niebo bez gwiazd; mrok i wietrzysko. Jestem tak pogrążony w rozmyślaniach na temat swojej moralności, że żalony dźwięk dzwonka na zmianę marynarzy przenika mnie panicznym strachem, przy tym — bo stoję oparty o barierę — przychodzi mi do głowy przykra i nerwowa myśl, że ta bariera może być źle przymocowana. Co mi jest? Brr... spać!

29 CZERWCA

Od rana surowy reżim. Mam już plan na cały dzień. Spacer na dolnym pokładzie — na przodzie okrętu: sto razy w tę i z powrotem. Nauka angielskiego, gra w karty z panem De i obiad. Po obiedzie godzina czytania, następnie praca aż do kolacji. Potem znów spacer i do łóżka. Tak będzie teraz! Zaczynam od rannego spaceru. Po dwudziestym nawrocie omal się nie przewracam, bo okręt przewala się gwałtownie z boku na bok i od przodu do tyłu. Kołowaczna... Na dodatek pokład szprycują wodą i szlak mój jest śliski. Morze jest wzburzone, tworzą się na nim wądoły i spienione pagóry. Ale słońce przygrzewa i dal wodna wydaje się jakimś ukwieconym, wichrem czochranym stepem. Znów mi podłoga uciekła spod lewej nogi i podreptałem drobnym kroczeniem aż do burty. Idę do tyłu — może tam będzie spokojniej. Owszem — pokład jest suchy, ale bujanina taka sama. Wypada mi co pewien czas mijać trzech marynarzy grających w karty na brezencie. Przechodzę raz — jakieś znajome mi przekleństwa. Drugi raz — i słyszę soczyste zdanie o matce i jej synu. Mowa słowiańska — ukraińska. Przystaję i pytam:

— Co, wy Ukraińcy?

— A wam co do tego, panie?

— Pewnie, że nic do tego — powiadam — ale może chcecie za chamstwo wziąć po gębie?

— Iiii — woda niedaleko, skoro grozicie!

Rozglądam się — jesteśmy sami. Odzywa się wysoki, popryszczony na gębie, do tego, co mi tak odpowiada:

— Ty, Iwaszka, nie bądź małpa... toż pyta po ludzku, odpowiedz, to on ci odpowie, co za jeden.

— Jaż wiem, onże Polak, u kapitaszki na górze mieszka, a tu przychodzi i pyta, i jeszcze w gębe grozi...

— Ot, nic, przegrywa, panie, dlatego dość go piecze — mówi popryszczony.

— My, panie, reemigranci, w Argentynie pracowali na fazendzie u Lamasa...

— Ty, Stiepa, wychodź, a nie gadaj z nim — powiada znów pyskаты Iwaszka.

Już nic nie mówię, tylko idę na górę — zły, żem się z nimi wdał w rozmowę. Hm, nieudany ranek. Skarżę się panu De.

— Dobrze panu tak, po co pan zaczepia ludzi?

— No cóż, na okręcie tak mało atrakcji — mówię.

— Zajmij się pan czymś lepiej — powiada surowo pan De.

Siadam do angielskiego i czytam: „Pewna dziewczyna spytała ludzi patrząc na nowy księżyc: «Cóż się też stało ze starym księżycem?» — «On umarł na suchoty» — odpowiedział jej pewien mężczyzna”...

— Może zagramy w karty? — pytam się pana De.

— Ej, nie może pan trochę przysiąść faldów... no, dawaj pan te karty!

Przegrywam w milczeniu, tylko naczynia cicho pobrzękują u stewarda, mnie także rzuca w fotelu roztańczony okręt. Przyszedł steward i kazał nam się posunąć, bo tu będzie nakrywał. Przesuwamy się i gramy dalej.

— Mógłby pan przestać śpiewać — mówię do swego partnera.

— A pan nie śpiewa, jak pan wygrywa... też pan śpiewa *cumparsitę*⁸...

⁸*La Cumparsita* — najsłynniejsza z melodii tanga. Została skomponowana w 1919 roku przez 22-letniego Urugwajczyka Gerardo Rodrígueza. [przypis edytorski]

- Ale pan śpiewa bez melodii, jedno w kółko!
— Każdy śpiewa, jak umie, drogi panie... Biorę siódemkę karo, o!

Na progu staje kapitan, mówi „olrajt” i rzuca beret na szafkę. Ubrany jest w świeżo wyprane dreluchy, oczka ma wesołe. Obieram sobie gotowane kartofle ze skóry i jem je ze śledziem. Ni stąd, ni zowąd pan De rozmawia z kapitanem po angielsku. Jasne, że mnie na złość, bo ja źle mówię tym językiem. Rozmawiają o wojnie boliwijsko-paragwajskiej. Energicznie zawiadamiam kapitana po hiszpańsku, że ja tam byłem. W Paragwaju, w samej stolicy, w Asunción. Zaczynam opowiadać, a pan De milczy, bo tam nie był. Zjeżdżamy powoli na te łatwe, paragwajskie dziewczyny, ale ten mnie znów dystansuje opowiadaniem o prostytutce w Argentynie. Po zupie (grochowej) kapitan zaczyna opowiadać o wojnie światowej; brał w niej udział także nasz telegrafista, stracił tam swoją męskość i teraz jest bardzo nieszczęśliwy. Ahaa! A kapitan jest plotkarz, bo o takich rzeczach się nie mówi. I jeszcze po wstaniu od stołu zatrzymał się trochę i dorzucił kilka szczegółów. Coś jeszcze o narzeczonej tego telegrafisty. Pytam się go, co to za jedni, ci Ukraińcy? Ano pasażerowie, zapłacili i jadą. Poszedł sobie. Gramy dalej, teraz ja śpiewam, ale pan De jest taktowny i nie zwraca mi uwagi. Kończymy partię, pan De wtaszczył się na górę, ja też się kładę i czytam książkę Nowaczyńskiego pt. *System doktora Caro*⁹. To jest świetna lektura na taką jazdę towarowym pudłem z kapitanem pleciuchem. Taki zdolny jest ten pan Dodek Nowaczyński, tylko szkoda, że do tych endeków przystał. Styl ma dziwny, ale widać endecy potrzebują takiego stylu. O, jaki kalamburek!: „Taka Sara z takiej rasy!” Ot, Żydów pewnie nie lubisz, niedobry! A ser z Saary lubisz?

Snem mi się wydaje po tej lekturze nasz rozbijały okręt na rozśpiewanym Atlantyku. Ale smutno trochę jest też, swoją drogą. Widzę Polskę w krajobrazach, w porach roku. Zamykam oczy: zaśnieżone pola, badyłe, martwota, ptactwo przemarznięte... Albo: wiatr pogania zeschnięte liście aleją starego parku, ciska je także na staw pomarszczony... Smutno. A tu co? Nawet mew już nie ma; morze i okręt, i niebo — wszystko w ustawicznym ruchu, obca mowa trzeszczy w zębach jakby piaskiem sypnął. Pan De też dziwny: czyści paznokcie, a choćby teraz — chustki do nosa pierze sobie w łazience, co myśli? Też nie wiadomo! Siądę chyba do pisania. A tu myśl w głowie kołaczę się nienowa, słowa zużyte — dawno napisane. I tak schodzi do kolacji. Jadło nie smakuje, choć zdrowe i dobre. A już te rozmowy: o wojnach, o wódce, o nieważnych zdarzeniach — nieudolnie opowiadane, ze śmiechem, gdzie nie trzeba. Wieczorem chodzę po pokładzie z upartym pragnieniem ruchu, przeginam się na wszystkie strony, łowią uciekającą podłogę — aż do potów. I znowuż usnąć trudno; roi się w głowie od wspomnień najdrobniejszych, nudne żale jątrzą umysł... Z Krzyżem Południa¹⁰ też bujda... mnóstwo tutaj jest tych krzyżów!

30 CZERWCA

Niedzieli się tutaj nie odczuwa, bo marynarze pracują we wszystkie dni swoich podróży na morzu. Pierwszy wstaje pan De. Idzie do łazienki, tam parska i śpiewa wesołe lub smętne pieśni. Jest to człowiek żyjący własnym życiem. A ja nie żyję swoim życiem, bo to życie na okręcie nie jest moje, jestem obcy samemu sobie. Rano wywelekam się ze swojej skrzyni, jestem zmęczony wypoczynkiem i patrzę jałowo w jednostajną przestrzeń dnia. W łazience zachowuję się bez entuzjazmu powitania z tym dniem. Jeśli mi jakiś przedmiot wpadnie pod wannę, rad jestem, że wypadek zajął mnie czymś na chwilę. Zapuszczam wąsy i ciekaw jestem, jak też będę z nimi wyglądał. Wziąłem ze sobą zegarek, daję nurka w wannie i staram się pobić rekord dnia poprzedniego. W wodzie otwieram oczy i rozglądam się — ale nic nie widać, sama zielonkawa mętność. Dzisiaj minuta i pół. Podczas ubierania się myślę o śniadaniu. Co dziś będzie — boczek z fasolą czy jajka na miękko? Jeśli boczek, to praca nad rozpoczętym wczoraj artykułem raźniej mi i dzisiaj pójdzie. Idę do jadalni. Pan De czyta magazyn rioski¹¹ i w ustach trzyma wykalaczkę. Jest boczek!

Po śniadaniu wychodzę na pokład. Czas piękny, niebo inne, bez chmur. Ale na dole huśta zdrowo, fala uderza raz po raz o burty, zalewa pokład tęczową płachtą. Wchodzę

Okręt, Morze, Nuda

⁹*System doktora Caro. Utopia humorystyczna* — powieść Adolfa Nowaczyńskiego (1927). [przypis edytorski]

¹⁰*Krzyż Południa* — najmniejszy co do wielkości gwiazdozbiór nieba, charakterystyczny dla nieba południowego. [przypis edytorski]

¹¹*rioski* — z Rio de Janeiro. [przypis edytorski]

na sam czub okrętu, wietrzyśko siecze tutaj chłodnym prysznicem; cała ta dal wodna porusza się, łązi i kołuje na widnokręgu. Wychylam się i widzę, jak woda tuż przed natarciem na rufę opada gwałtownie lub nagle wznosi się aż do kotwic. I tak po kolei: dziób się zanurza i unosi, a potem znów bokami okręt się pokłada. Biegnę do tyłu zobaczyć, co się tam dzieje. Ano właśnie, do góry idzie także i śruba. Robi kilka obrotów w powietrzu. Wiem już teraz dlaczego powoli jedziemy. Ukraińcy leżą na brezencie i opalają się. Bierze mnie chęćka znów ich zaczepić, ale może wyniknąć awantura. Co tu robić? Na górze oficer od maszyn rozmawia z telegrafistą, ale z nimi trudno się dogadać. Tak trudno jest cokolwiek zaobserwować na tym okręcie, bo może bym i co napisał, ale to wszystko stanowi taką całość! Przecież nie będę opisywał śrub albo komina, i ludzie też jednakowi — chłop w chłopą blondyni, małomówni, każdy grzebie się w swojej robocie. Ale jakaś dziewczyna przydałaby się niesłychanie. Można by z nią wysiadywać na rufie, wieczorami znów spacerować. Nie żeby zaraz myśleć o jakimś zbliżeniu cielesnym! Przeciwnie — odwlekać to jak najbardziej, chodzi przecież o zajęcie na dłużej. Ale ciepło jest i jasno, przezroczyście! W miejscach osłoniętych leniwa cisza, ale obok od razu wicher i kiedy się widzi rozwydrzane morze, zaraz się słyszy hałas i ryki. Koty śpią w jednym kłębie, jakby je kto posklejał na wieki. Wchodzę do kabiny — mroczno tu, ponuro.

— No, panie Zbyszku! Ulżę panu trochę, mogę zagrać!

— Wybacz pan, ale wprost nie mam ochoty.

Mówię to i groza mnie chwyta, że ten człowiek się obrazi i jedyna rozrywka pójdzie w diabły.

— A, nie! To jeszcze lepiej — odpowiada pan De z tłumionym zażenowaniem.

Trudno, zdaje się, że przeholowałem. Pośród kilku książek mam historię Polski Wacława Sobieskiego¹². Otóż to, przynajmniej nauczę się czegoś. Zaczyna się od tego, jakżeśmy to przywędrowali na te nasze ziemie. Lektura, trzeba sobie powiedzieć od razu, dość przymusowa. Ale wołają na obiad. Dzisiaj ja zabieram głos. Mówię o Czudach¹³... jak to Czudowie... to przecież dzisiejsi Finowie! Tak... Ale kapitan niewiele wie o tych dawnych czasach, woli lżejszy temat. Lepiej go przemilczmy. Po obiedzie myślę, jakby tu załagodzić sprawę tych kart. Ale widzę, że pan De zabiera się do jakiejś pracy serio; wytaszczył maszynę, papier, kalkę, czarny i czerwony ołówek. Gumę do wycierania też ma. Co też on będzie robił! Pisarz, literat nie jest... może pamiętniki? Nie patrzy na mnie, raz tylko powiedział:

— Pozwoli pan, że zajmę tę połowę stołu?

— Pewnie — mówię.

I ja siadam do pisania. Ale tu wyłania się taka kwestia: po prostu nie można pisać we dwóch jednocześnie. Trzask okropny. On jakoś pisze, ale ja po prostu nie mogę! Więc robię wymowne pauzy, chrząkam, zamyślam się... i takie świetne pomysły przychodzą mi do głowy. Zerkam, co on pisze: jakiś tytuł i czerwone litery. Hałaśliwie zamykam maszynę i odchodzę. Na pokładzie — no, cóż? Okręt, prawda... morze... pokład... Zabieram się do czytania: dwaj pielgrzymi Rzepiszę...

Budzi mnie steward, żeby pójść na kolację. No tak, po prostu pan De jest opanowany, dojrzały mężczyzna, nie potrafi się nudzić, umie sobie wynaleźć zajęcie, porozmawiać. Na przykład teraz konwersuje po angielsku z kapitanem; mówią o radiu, o swoich dzieciach... Kapitan ma syna i dwie córki, pan De nie ma syna, tylko same dwie córki. Już, wspaniały temat! Ale to są dwaj ojcowie, a ja co? Wymieniają się — prawda — spostrzeżeniami na temat przywar i zalet swych dzieci, tak na przykład trzynastoletni syn kapitana uderzył kiedyś młodszą o dwa lata siostrzyczkę. „Dlaczego ją bijesz? Przecież to kobieta” — pyta ojciec. „Wszystkie razy, jakie bym jej zadał, nie oczyszczą jej duszy z wad tego obrzydliwego gatunku, jakim są kobiety” — odpowiada chłopiec. No tak, fakt ten pozwala się domyślać pewnych skłonności u małoletniego. A oni się z tego śmieją, powiadają, że to młody mężczyzna w nim się budzi. Ale i ta rozmowa się kończy.

Idę odprowadzić swój spacer. Gdzieś tam drga żółte światelko płynącego okrętu. Jest coś z przykrej obojętności w tym jedynym światelku; znaku, że jeszcze jedno podobne życie płynie razem czy też mija nas. A może jest to statek pasażerski, w takim razie to życie nie

¹²historia Polski Wacława Sobieskiego — chodzi o *Dzieje Polski*, tomy 1–3 (wyd. 1923–1925). [przypis edytorski]

¹³Czudowie — plemiona ugrofińskie. [przypis edytorski]

jest podobne. Tam piją, tańczą, po nocach kochają się w kabinach... Dość już się zgrzałem, do łóżka! W tym łóżku, czytając znów historię mojego kraju, odkrywam niesłychaną aktualność pewnych fragmentów dotyczących wszelkich naszych sojuszków z Niemcami. O, już pierwszą zdradę mam... będę liczył, ile też razy nas wykiwały Szwaby... przed tą zdradą, która teraz nastąpi, po tej naszej nowej przyjaźni z nimi... No zobaczymy! A teraz spać...

I LIPCA

Wobec tego, co się tu dzieje, nie odczuwam najmniejszego strachu, bo każdy człowiek, znoszący dobrze podróż morską, czuje się na okręcie bardzo pewnie. Równie dobrze się czuje na łódce ratunkowej, już po zatonięciu okrętu, a także obgryzając nogę zarżniętego towarzysza. Ale mnie to przesadne kołysanie się okrętu z tymi wszystkimi dodatkami, jak wycie wicheru, zalewanie przez fale pokładu, ustawiczne pobrzękiwanie przeróżnych naczyń — po prostu trochę denerwuje. Spacerować nie mogę, bo wyglądam wtedy jak gdybym tańczył taniec brzucha. I to wszystko dzieje się w słońcu pod lazurowym niebem. Jakież zajęcie mam sobie wynaleźć o tak niespokojnym czasie? Pan De, błady i posępny, z trudem łowi palcami klawisze swojej maszyny. Píše jakąś beletrystykę, bo często zaczyna od nowego wiersza i stawia akapity — pewnie dialogi układu.

Biorę pudełko z wycinankami i wysypuję je na swojej połowie stołu. Grzebiąc w nich, myślę, że rzeczywiście trudno by było ułożyć z tego jakąś całość, a całość jest pokazana na pudełku: kolorowy obraz przedstawiający okręt na morzu w czasie burzy. Wycinanki są po jednej stronie w różnych barwach, po drugiej szara tektura, na tych szarych stronach zauważyłem jakieś nikłe znaczki. Tak, pan De jest u mnie teraz dziecko, bez zmysłu orientacji. Wycinanki są numerowane, po prostu trzeba je po kolei dopasowywać.

— Wie pan co, podejmuję się w ciągu dnia dzisiejszego ułożyć całą tę historię — mówię do pana De.

— Nie uczyni pan tego, bo to wymaga mozolnego studiowania i cierpliwości.

— No, zobaczy pan, dziś będą gotowe.

— Ja bym się tego w żadnym razie nie podjął.

Pogrążyłem się w tej pracy. Nawet z numerkami idzie trudno. Nuży mnie to trochę i co czas pewien wychodzę na pokład. Tuż nad wodą fruwały ryby, podobne do jaskółek. Nareszcie jakieś życie zaczyna się na tym morzu, bo po odpłynięciu od brazylijskich brzegów panowała martwota — tam przynajmniej mewy kręciły się wokół okrętu. Przeleci sobie taka rybka ze sto metrów i ginie nagle w morzu. Ale i to mnie już nie bawi, wtaczam się do jadalni-salonu (czort wie, jak to nazwać!) i siadam do wycinanek.

— Ryby latające widziałem — mówię do pana De.

— A, widać wjechaliśmy w ciepłą strefę.

— Tak, widać, żeśmy wjechali, ale ciekaw też jestem, czy te ryby są jadalne?

— No, panie! Wyśmienite są wprost!

— Jadł pan kiedy?

— Nie próbowałem, panie, ale cóż to — mniejsze od śledzia; gdzież by tam jakie niedobre się pomieściło!

— Aha, tak — powiadam.

Poszedłem na dziób, tam rozebrałem się do naga i leżałem na słońcu z godzinę. Myśli mam nijakie; nie jestem szczęśliwy i nie cierpię. Tak muszą się czuć zwierzęta. Słońce już mnie przyprzążyło dość ostro, więc biegnę do łazienki i tam z pół godziny moczę się w wannie, w morskiej wodzie. A choćby i w grudniu węgiel roznosić — byle w kraju. Gwiżdżę na ryby, na „roztocz szmaragdową”, na bajdewindy¹⁴ i sztormy! Huśta mnie w tej wannie jak karpia w szafliku na żydowskiej furze. Ciekaw jestem, kiedy ten „Orient” tak się bujnie, że już się więcej nie podniesie? Bo to już męczy, ten ciągły lęk, że się w coś łbem wyrznie! I tak ciągle, do obiadu steward podniósł listwy wokół stołu, żeby naczynia nie pospadały. Z kapitanem rozmawia się o codziennych sprawach. Po obiedzie ślęczę nad wycinankami. W jadalni jest cicho, ale przesuwające się obrazki na ścianach, jakieś skrzypy — wszystko to trochę irytuje. O piątej steward wnosi kawę, przy tej kawie staram się trochę pogawędzić z panem De, ale nic ciekawego nie mamy sobie do powiedzenia.

¹⁴bajdewind — tu: niesprzyjający wiatr. [przypis edytorski]

Już taka atmosfera. Tuż przed kolacją przedstawiam mu złożony już obrazek z wycinanek. Jest okręt i burza na morzu. Widzę, że mu to imponuje. Jeszcze coś sprawdza palcami, wygniata, w końcu mówi:

— To świadczy, że posiada pan smykalkę do tych rzeczy.

I nic więcej! Wieczorem przyczajone koty skaczą co chwila za rybami, które przyciągane światłem, wpadają na pokład. W końcu objedzone drapieżniki już nawet nie reagują na nowe ofiary.

2 LIPCA

Jest jakby cichy, tajny kontakt słońca z morzem. Wszystkie tanie metafory złych poetów, jak „słońce pieści fale”, „słońce przegląda się w lazurowej tani” i podobne określenia, mieszczą się w tym kontakcie. Ta jedynność tych dwóch — morza i słońca — dręczy brakiem szerszego tematu. Bo prostu nic tu się nie dzieje; sama uroda. To nie dla mnie. Znowu wyleguję się nago na dziobie. Słońce grzeje, wiatr chłodzi. Z brodą opartą na rękach wpatruję się w dół, w morze. Czasem tuż przed dziobą wyprysnie kilkanaście ryb i wachlarzem puszczają się w swój niedaleki lot. I po atrakcji. Nagle czuję, że plecy mam oparzone i po kąpieli zaczyna się ból, męka. Dziś zdaję sobie sprawę, że przecież już wczoraj było bardzo gorąco, a dziś ociekam potem. Mam na sobie tylko spodnie i koszulę, ale ciąży mi to jak pierzyna. W naszej kabinie i w jadalni warczą wentylatory. Koty leżą z wywieszonymi językami, nieskore do figlów. Okręt za to nic nie uspokoił się, to samo co i wczoraj. Do obiadu steward podał karafkę kwasu z lodówki. Jest to smaczne, bo zimne. Jemy niewiele. Staram się trochę pisać, bo pan De przerwał swoją pracę i mam spokój, ale każde słowo odkleja się pod palcami, więc kładę się plecami do góry, i tak się czas wlecze. Aż tu nagle pod wieczór zaczyna siepać deszcz i chociaż upał przestał dokuczać, ale za to jakiś ekstrakt smutku ulokował się we mnie i począł dręczyć aż do młodości. Nie mogę czytać tego Sobieskiego; czegoś mi za bardzo światobliwy, ale co do Niemców ma rację. Ułożyłem swoje zwłoki w skrzynce, tam się objam aż do ciężkiego, dusznego snu.

Morze, Słońce, Podróż

3 LIPCA

Cisza i skwar. Na okręcie pustawo, czasem mignie człowiek. Na śródookręciu obok naszych drzwi stoi beczułka z kwasem, ale już widać ludzkie się opili, bo nie przychodzą. Po raz drugi wychodzę z wanny. Ten nasz okręt to jak śliwka w knedlu, który znowu pływa we wrzątku. Bo rzeczywiście niebo na krańcach tak się dziwnie łączy z morzem, zagęszczone od gorąca powietrze zmniejsza przestrzeń, że aż ciasnawo. Te koty powłaziły w różne dziury — wyglądają jak puszyste zatyczki w szparach. W jadalni chwytam pana De na układaniu wycinanek. Na mój widok odsuwa stos tekturek i mówi:

— Też, ciekaw jestem, kto to wymyślił... zajęcie dla jakiegoś skończonego melancholika!

— No to może w karty zagramy — proponuję.

— O, nie!

Dał mi rewanż — przykro.

Gwiżdżę lekko i odchodzę. Siadam na jakimś pobrzeżu po cienistej stronie i zerkam tu i ówdzie, czy aby czego nie zobaczę. Ale ruch mały. Z kuchni wyszli dwaj kucharze, obaj biali, w okrągłych czapczkach, pulchni i rumiani chłopcy. Jeden obciera fartuchem pot z czoła, drugi pali papieroska i przeciąga się. Raptem z tyłu wychynął z luku i wlaź między nich czarny, usmolony palacz, także w fartuchu i czapczce, tylko na czarno. Palacz chwilę pogawędził z nimi, poszedł napić się kwasu, jeszcze troszkę powstał i znikł w czeluściach okrętu. I dwaj kucharze też zgodnie poszli do kuchni. Na widowni ukazała się teraz stara kotka, obwąchała szereg przedmiotów, spojrzała na mnie lekceważąco i wyciągnęła się pod progami kuchni. Potem ja przeszedłem kilka metrów i z góry spojrzałem na tylny pokład. Półnady Ukraińcy siedzieli w komplecie i palili.

— Gorąco wam, co? — zawołałem.

— Tak jak i wam, panie — odpowiedział popryszczony.

No, to są impertynenci, już nie będę więcej z nimi rozmawiał. Poszedłem do łazienki i puściłem wodę do wanny. Po kąpieli przymusowo zasiadłem do pracy i ze dwie godziny ślecząłem nad maszyną. Potem był obiad, po obiedzie kładłem się, znowu wstawałem, tak

Okręt, Podróż, Nuda

do zmierzchu. Myślę sobie, jakie to ja życie tu właściwie prowadzę? Może by jaki sport zacząć uprawiać. Tak przecież dalej nie może być, bo jeszcze mnie co napadnie i wskoczę do morza. Na łądzie tak sobie nieraz myślałem: żeby tak można całe życie przepodróżować na jakimś spokojnym okręcie, żyć jak poganin, rozkoszować się słońcem, cudnymi widokami, nie myśleć o szarych sprawach codzienności. Ładna historia! — „całe życie!” Już trzeba być jakimś wyjątkowym leniuchem, niedołągą i łatwym samolubem, aby móc wytrzymać dłużej i rozkoszować się taką vegetacją. Swoją drogą wieczór dzisiejszy jest uroczy. Na niebie gęsto od gwiazd, smugi na nim srebrnawe. Daleko, tuż nad morzem, tkwi księżyc jak krwawy przecinek. Chłodny wietrzyk myszkuje po pokładzie. Niby spokój i błogość, a właściwie chciałyby się wyjść z okrętu i pójść, gdzie oczy poniosą.

Zauważam na morzu nędzne światełko, podobne do tego, jakie się widzi w odległej chatce, i to zimową porą. Odwracam się do kapitana, który akurat był zajęty pakowaniem kota do worka, co też to jest takiego? Wyjaśnia mi obszernie. Jest to wyspa Fernandez Noronha¹⁵, miejsce zesłań kryminalistów. Sieją tam, orzą. Opowiedział mi mnóstwo szczegółów o nieudanych ucieczkach tych więźniów, dość że po jego wyjaśnieniu światełko to wydało mi się jeszcze bardziej ponure. Tymczasem w worku coś się rusza i dwa kotki, nie wiedząc, że tam ich rodzony brat siedzi, rzucają się z pasją na ruchliwy kłębek. W końcu w labiryncie swego więzienia kot odnajduje wyjście i kiedy oszołomiony wysuwa łebek, kapitan pokłada się ze śmiechu. Podchodzę do pana De, obróconego do nas tyłem, wpatzonego w księżyc i światło na Fernandez Noronha.

— Ładny dziś wieczór mamy — zagajam.

— O, tak, lecz spójrz pan na to nikłe światełko, ileż istnień nieszczęsnych, z przetrąconym kręgosłupem mieści się w tym żółtawym punkcie! Wyrzuceni poza nawias, otoczeni bezdennym oceanem, w pracy i pokucie ci biedacy dochodzą dni swoich...

— No, wie pan, ale ocean nie jest bezdenny, przecież niedawno już nawet obliczyli...

— Ach, panie Zbyszku... toż to przenośnia! A spójrz pan nieco wyżej i na lewo... znów jakiś punkt świetlny. To znów wymarła planeta — księżyc! A czyż my wiemy na pewno, że wymarła? A może i tam tysiące istnień cierpi i równie...

Ale ja nie odpowiedziałem panu De na to pytanie, rzucane — nie wiem — mnie, czy też w wyskrzzone niebiosy? Odszedłem.

4 LIPCA

Akurat właśnie dzisiaj, kiedy przejeżdżamy równik, pada deszcz i słońce na morzu jak za najlepszych dni jesiennych w Jakubowicach czy Lubomli. Chłodno i nie ma tego rozbestwienia kolorów na morzu i jego rozpusty ze słońcem, księżycem i gwiazdami. Woda wszędzie, kolor brunatnopozielaty i koniec, przynajmniej wiem, że jest istotna przyczyna złego humoru. Przy śniadaniu pan De przywitał mnie mocnym spojrzeniem i tuż przed złożeniem sztućców zapytał:

— Panie Zbyszku, czy mógłby mi pan powiedzieć, co pan sobie właściwie o mnie myśli? Jakim pan mnie znajduje?

— Nic sobie o panu nie wyobrażam, bo wiem po prostu, żeś pan porządny człowiek, szukający rozwiązania pewnych zjawisk, przy tym ma pan charakter i opanowanie, którego ja za grosz nie posiadam, bo jestem człowiekiem zupełnie zależnym od nastroju.

— Tak, ale widzi pan, ja się panu do czegoś przyznam. To, co pan powiedział, oznacza, że jest sobie taki człowiek, który jedzie za interesami, ma żonę i dzieci, nazywa się tak a tak. Ale we mnie jest także drugi człowiek, we mnie jest twórca... Co tu dużo gadać — panie Zbyszku! Ja czuję w sobie tęgiego powieściopisarza! Musiały pana pewnie zdziwić wczorajsze moje refleksje na temat pokurczonych, ciśniętych dłonią losu Bóg wie gdzie — istnień! Ale ja się właśnie wczoraj zdradziłem przed panem i pan — człowiek pełen taktu — odszedł, żeby nie słuchać obnażania mego oblicza. I to właśnie ze zwykłego towarzysza podróży uczyniło mi z pana bliskiego człowieka. Oto wszystko!

— Tak, ale czy pan już coś napisał? — spytałem przytłumionym głosem.

— Nie, dotychczas nic... wszystko mam w głowie, ale właśnie w czasie tej podróży zacząłem obrabiać pewien temat...

¹⁵Fernando de Noronha — archipelag na Oceanie Atlantyckim, położony 350 km na wschód od wybrzeży Brazylii. [przypis edytorski]

— A czy może mi pan to dać do przeczytania?

— Owszem, jutro otrzyma pan mój maszynopis! Panie Zbyszku, pan jesteś pierwszy, któremu się z tym zwierzyłem! Uszanuj pan to, oto moja ręka! A teraz możemy sobie pograć w karty.

No, przynajmniej mam z tego zwierzenia jakiś pożytek. Ale czy też za to „obnażenie” nie wypadnie mi drogo zapłacić? Już sama podróż staje się ciężką próbą nerwów, a cóż dopiero taka podróż z twórcą! I to tu, na tym właśnie okręcie zaczął pisać! (tasuje teraz karty, oczy opuszczone, lekki przyjemny grymasik z gatunku „uśmieszków”). Prawdopodobnie będzie chciał ze mną dużo dyskutować... będą zwierzenia... porady... O, Chryste, miej mnie w swej opiece! Zabiera mi asem dwie siódemki Taka to dziwna gra. Po obiedzie umawiamy się (on zaproponował), że pracować będziemy kolejno, aby sobie nie przeszkadzać.

— Ja tylko od drugiej do piątej, bo dłużej nie mogę, wyczerpuję się — powiedział mi.

Tak też „pracowaliśmy” całe popołudnie. Na pokład nie można wyjść, bo leje! Troszkę mnie irytuje czuła powaga w odezvaniach się pana De. Ma tam być poufny ton, słodkie brzemie wspólnej tajemnicy. Ej, żeby on mi tylko tutaj jakiej biedy nie sprawił...

5 LIPCA

Wręczył mi maszynopis podczas śniadania. Już sam tytuł, napisany dużymi literami w odstępkach, nieco mnie zadziwił: *W okręcie na niewiadome*. A dalej to już były takie słabe rzeczy, o tym, jak pewien rozstrojony nerwowo człowiek, typ silny i szlachetny, przechodząc portem, wszedł na pierwszy lepszy okręt towarowy, pogawędził z kapitanem i znalazł to, czego szukał: cudowne sanatorium dla swoich nerwów, gdzie dni płyną spokojnie „jak zakłęte perły”; cały utwór pełen jest rozważań filozoficznych i znamionuje tęgiego grafomana i banała. Powiedziałem mu, że utwór ten nadawałby się, moim zdaniem, na scenariusz do filmu. Czulem się trochę upokorzony, mówiąc tę brednię.

— Ach, ja się jeszcze namyślę, na razie trudno mi coś postanowić — odpowiedział w zadumie.

Jego drapieżny profil, z orlim nosem i zaciśniętymi wargami, wyraża postanowienie i wytrwałość. Nozdrza ma rozdęte... wybiegłem szybko na pokład, bo mi mdło, choć okręt sunie jak po stawie. Rośnie mi tu jakaś bzdura z dnia na dzień, robi się to męczące. A wszystko to w spiekocie, dusznych podmuchach; bo dziś znów jest tak ładnie, że poszłoby się gdzieś w olszynę, nad strumyczek... Idę na rufę i układam się na wznak. Przez palce patrzę na słońce, lecz i to takie wiadome, zarówno jak morze i ta nasza nieszczęsna arka. Pocięszam się tylko, że doprawdy organizm ładuje się energią jak akumulator, tylko ja o tym nie wiem, a dopiero w przyszłości się to pokaże. Czuję, że ktoś stoi nade mną. Tak, to pan De patrzy na moją nagość.

— Żyje pan sobie tutaj jak poganin — powiada.

— Niechże i pan się rozbierze — mówię.

— O, ja mam za delikatne ciało, cierpiałbym potem. Ach, jaka cudna jest ta przyroda! Gdybym kiedykolwiek miał popełnić samobójstwo, rzuciłbym się z wysokiej góry albo właśnie z takiego okrętu.

— W morzu są rekiny, zanimbyś się pan utopił, poobgryzałyby panu kończyny.

— Podobno w wodzie nie czuje się bólu.

Nie chce mi się prowadzić dalej takiej rozmowy, więc wciągam spodnie i schodzę na dół. Drżąca suchka na mój widok wrzeszczy jak opętana, więc szybko biegnę do kabiny, puszczam wodę do wanny i już siedzę w wodzie, smutny, trochę zdenerwowany młody człowiek. Ubrany, trochę odświeżony, zabieram się po raz drugi do Nowaczyńskiego, no bo co mam robić? W otwarte drzwi kabiny ktoś puka i na progu ukazuje się telegrafista z kluczykami w ręku. Przeprasza mnie i otwiera szafkę. Przechodzi mnie jakby olśnienie, bo przecież w naszej kabinie jest szafka z wódkami. „Tak, ale to nie jest twoje” — mówi mi tajemny, wewnętrzny głos. Ani myślę się tam dobierać, poproszę kapitana, to mi pożyczę. „I co, zamierzasz się upić? To by było niskie!” Już nie słucham wewnętrznego głosu. Telegrafista wypatruje między rzędami butelek i wyciąga jedną — z koniakiem.

— Czy nie za gorąco na alkohol? — zagaduję go.

— O, panie, wódka jak ciepło — chłodzi, jak zimno — grzeje.

Zachichotał po tym całkiem logicznym zdaniu, zamknął szafkę i znikł jak senne widziadło. Ależ ten pan Adolf wygaduje na sanację, pożał Boże! Nowa wizyta — stara kotka ukazuje się na progu. Wołam ją, prztykam palcami, ale ona pokręciła nosem i poszła sobie. Zapadam w drzemkę i wydaje mi się, że wsiadam do tramwaju w grudniowy zaśniewiony wieczór, że konduktor nie ma mi wydać reszty, a ja wołam: „Cóż to za porządki!”, na co on odpowiada, że nie ma obowiązku mieć tylu drobnych. Tu budzi mnie pan De i pyta się, co z moimi koszulami.

— A co, dlaczego?

— No bo trzeba się będzie zabrać do prania!

— Nie dzisiaj, nie chce mi się!

— Kiedyś trzeba będzie poprać bieliznę, bo tu baby nie ma!

— A nie ma, nie ma — mruczę.

— No to chodź pan na obiad, trzeba coś przegryźć!

Siadamy do stołu. Kapitan kwitnie na twarzy i załatuje koniakiem. Ponieważ jemy śledzie z puszki, więc opowiada nam, jak się te śledzie łowi i jak się je preparuje. Na deser mamy sago ze śmietanką. Po odejściu kapitana zaczynam gwizdać. Pan De przerywa mi i pyta:

— A to pan zna?

I zaczyna gwizdać jakąś melodię.

— Tak, znam to, a to pan zna?

I z kolei ja się popisuję. Schodzi nam tak do kawy. Jak tak dalej pójdzie, w najbliższym porcie kapitan umieści nas w jakimś cudzoziemskim Kulparkowie¹⁶. Jednak pozbierałem resztki woli i do kolacji napisałem kilka stron. Czuję pewną ulgę. Udało mi się rozpaść w piecu, zaczynają mi świtać pewne koncepcje, może w końcu mnie to zajmie. Po kolacji spaceruję dość długo, płyniemy w ciemnicy, gwiazd nie ma, morze fosforyzuje, łyska upiorną barwą. Palacz wyrzuca popiół do morza, robota jego jest hałaśliwa, pełna zgrzytów — ożywia trochę monotonię okrętu. Pan De stał mi się nagle interesujący. Kiedyśmy już leżeli w łózkach, opowiedział mi kilka historii z czasów rewolucji rosyjskiej. W opowiadaniach tych kotłowało się od zgiełku i awantury, a każde zdanie ociekało krwią. Gdyby pan De pisał tak, jak opowiada, mógłbym go nazwać twórcą. Ale w rezultacie zaczął bredzić, widać zasypiał. Z sąsiedniej kabiny stewarda dochodziły mnie głosy grających w karty: kucharzy i gospodarza. Słowa ich dźwięczały jak gdyby pieniądz jakiś spadał po kamiennych schodach. Czasem się który zaśmiał, w ogóle grali na wesoło i nie klócili się. Zasypiałem bez entuzjazmu.

6 LIPCA

Taka pogoda na co dzień, to przesada. Można by nią obdzielić Polskę i zamiast pięćdziesięciu dni słonecznych, mielibyśmy calutki rok aurę. To nieprawda, że w samotności człowiek inteligentnie i myśl głębiej pracuje. A może ja mam taką naturę, że potrzebuję, aby się coś wokół mnie działo. Pan De zakomunikował mi, że człowiek inteligentny nigdy się nie nudzi. Też sentencja! Tylko właśnie ograniczony i zasklepiony umysł może się nie nudzić, bo takie życie jak na tym okręcie nie absorbuje i pobudza lenistwo. Przecież doznania i tętno życia zmusza umysł do wysiłku, aby nie pozostać w tyle. Może się jednak mylę. Ja tam po jakimkolwiek wysiłku umysłowym muszę mieć rekompensatę, otrzeć się o ludzi, coś od nich usłyszeć. Dziś na przykład wziąłem się ostro do roboty, ale co zrobić z resztkami energii, jak ją wyładować? W jakimś mieście można pójść do teatru, wyściskać się z dziewczyną, a choćby coś poczytać. Tu nawet książek nie ma. Taki przekładaniec Nowocześniejszego z Sobieskim może w końcu zemdląć. Spacer też mi nie nowość, a przy tym daleko nie zajdę. Okręt już znam i nie mogę powiedzieć, aby ta znajomość była interesująca. Załadowane do ostatecznych możliwości pudło, wiecznie rozbujane i skrzypiące.

Jedynie co mnie interesuje, to marynarze: rosłe, ładne chłopcy, weseli blondyni, zgrabni w ruchach i łagodni. Z żadnym z nich nie mogę się dogadać, ale mijając ich podczas

Nuda, Okręt

Zwierzęta, Zabawa, Okręt

¹⁶Kulparków — zakład dla chorych umysłowo w dzielnicy Lwowa. [przypis edytorski]

spacerów, przyglądając się ich mimice, domyślam się, który drań, a który porządny i pracowity. Gdybym się mógł z nimi porozumieć, na pewno miałbym wspaniałych towarzyszy, którzy mogliby mi wiele ciekawego powiedzieć. Z kotami nie mają oni bliższego kontaktu, w przejściu tylko mogą się na nie popatrzeć i pobawić. Ale to, co wyprawiają ci, którzy mają wolny czas, z małą suczką, chyba świadczy o najżywszej przyjaźni i tkliwości. Kiedy marynarze leżą na brezencie, suczka spaceruje sobie po nich i jeśli nawet zbudzi zmęczonego chłopaka, zawsze spotka się z pieśczołą. Traktowana jest tu jak coś cennego, czego wszyscy pilnują. Nigdy nie zauważyłem, aby marynarze zabawiali się bez tej psiny. Jeśli który idzie do nas na górę, na śródokręcie, suczka odprowadza go do schodków i skomląc odchodzi. Podobno dostała kiedyś bity od kapitana. U nas królujecie Pessi ze swymi kociakami. Ale Pessi jest wiecznie zaferowana, poluje widać, bo spotyka się ją wylażącą z jakichś czeluści. U balustrady zwisają liny, przytrzymujące schodki do lądowania. Jest to przyczyna mego niepokoju, jeśli chodzi o małe koty, bo skaczą na te liny i drapią się w górę, a wiatr i chwiejba porusza je tuż nad morzem. Wpadnie jeszcze kiedy który — chyba bym się zamartwił. Te małe, naładowane żywotnością kłębuszki potrafią człowieka wyrwać z najgłębszej depresji. Nawet kapitan — człowiek, który zwierząt nie lubi — adoruje kotki. A więc po pracy to jest moja rozrywka.

Jestem niby zdrow i rześki, bo żyje się przecież dość regularnie, ale często nachodzą mnie myśli przykre i pełne zwątpienia. Stwarza to monotonia życia. Wpatruję się w ciężko zapracowane, wiecznie to samo dziwne morze! Wcale nie czuję perspektywy, po prostu mozolne przewalanie się zwałów wody przytłacza i dziwnie zasmuca. Właśnie dzisiaj zdarzyło mi się ujrzeć coś, co silnie podkreśliło powolność i jednostajność naszego życia na „Oriencie”. Leżałem akurat na rufie i próżniaczko rozglądałem się po niebie, kiedy nagle pojawił się tam podłużny punkcik, srebrzący się na obu końcach. Okrzyki marynarzy i poruszenie na pokładzie brzmiały jak hołd dla mijającego nas w oddali samotnego zeppelinu. Szybko też znikł nam z oczu. I pomyśleć, że to cudo w trzy dni przemierza odległość pomiędzy Europą a Ameryką Południową! Pan De jest bardzo poruszony widokiem zeppelinu i to jego ożywienie koliduje mi trochę z wygłaszanymi zdaniem o nudzie, a także i z treścią jego utworu. Jasne, że pan De chciałby jechać prędzej i temat ten wypełnił mu całą rozmowę z kapitanem podczas obiadu. Te boleśnie jałowe tematy zaczynają mi doprawdy dokuczać, zwłaszcza że przedłużają one siedzenie przy stole już po spożyciu tego, co tam było, a wstawać wcześniej też nie wypada, bo to zawsze kapitan, który wie, że mi się nigdzie nie śpieszy. Przy tym kapitan tak błąduje, że czasem ta jego błaga zdaje się otaczać nas jak brzydka woń, doprawdy, duszno się robi w jadalni. Jego opowiadanie, jak to zabił pewnego oficera spojrzeniem, albo o kochance — Malajce, która miała małe, pierzaste skrzydełka, wygrałyby wszelkie konkursy kłamstwa. Ja już się nawet do tych rozmów i opowiadań nie wtrącam, bo mi wstyd.

7 LIPCA

Muszę przyznać ze zdumieniem, że odkryłem w panu De duże poczucie humoru. Jest to wartość w naszych warunkach. Nabytek! Otóż rano, kiedy lokowałem się na dziobie w ten sposób, aby pokazać słońcu moją obnażoną wgardę, odezwał się bardzo wykwintnie, nie wymawiając litery r, do siedzącego w cieniu pana De:

— Jestem stała głabina i wałunki życia tego vapełu¹⁷ i łównież stół i sosieta nie baldzo odpowiadają mojej pozycji i łodowi.

Powiedziałem sobie to wprost z pustki wewnętrznej, aż tu raptem posłyszałem ponurą odpowiedź:

— Jak ci się, stara cholero, nie podoba, to ci je mogę zmienić na inne, te swoje „wałunki”. Jak ci się ryby dobiorą do miodu, to się dopiero — grzmocie — opamiętasz!

— Och, ty wstłętny ołdynusie, jak ty się do mnie wylażasz?! Czy wiesz, ilu w moim łodzie było senatorów? Z jakiej ja łasy pochodzę? Że moi pszotkowie mieli już pałęset lat temu dziewięć pałek w kolonie, ty człwony bolszewiku, pałobkiem nawet byś nie mógł być u mnie! Łozumiesz?

¹⁷vapeł (od fr. vapeur) — statek parowy. [przypis edytorski]

— Rozumiem, rupieciu! Teraz te wszystkie pałki twoich przodków idą na tyłki i takie baty wam się sprawi, że zaczniecie w końcu szanować parobków, a ty, zgniła purchawko, pojedziesz do Paryża dom publiczny sobie założyć!

— Ach, och! Że też ja muszę na stałe lata podłóżować z takim szezimieszkiem, który mojej błękitnej kłwi nie uszanuje! Och, ach!

— Ja ci dam błękitną krew, ropucho! Tej błękitnej krwi użyjemy na farbę do naszych sztandarów, ty cuchnący antyku!

— Och, łatunku! Sole!

Dalszy ciąg dialogu między starą arystokratką i komsomolcem przybrał tak nieprzyzwoitą formę, że pozostanie ona tylko w mojej pamięci ze względu na wysoki poziom ścierania się dwóch stanów. W każdym bądź razie pan De swymi dalszymi, chłodnymi argumentami zmieszał z błotem i wykipił bezlitośnie nieszczęsną staruszkę. Po tej dyskusji zacząłem się gimnastykować na gołych deskach i odpokutowałem to trwałymi plamami smoły roztopionej na słońcu. W wannie ta smoła zakrzepła i kiedy przejrzałem się w lustrze, maść moja wyglądała dziwnie, ale interesująco.

Jestem znów na pokładzie i gwizdzę, gwizdże także pan De, i tak przegwizdujemy się wzajemnie z czerwonymi policzkami i mgłą w oczach. W końcu tchu nam brak i znów gapimy się na to, co nas otacza. Oto grupa półnagich marynarzy baraszkuje na dolnym pokładzie z obskakującą ich niby żywa piłka — suchką. Jacyż śliczni są ci Finlandczycy! Krzepkie, muskularne chłopcy — jak rzeźby. Mimo żaru i duszności siadam do pracy. *Panta rhei* — dosłownie! Okręt, czas i myśl moja...

8 LIPCA

Otóż wkradła się do mego życia tutejszego — kobieta. Dość namolna, a nawet groźna zjawia. I to kobieta Polka, w której wymarzyłem sobie w puste spacerować tam i z powrotem: — jakieś cudowne rodactwo, jedną rasę! Oblokłem ją w całą moją tęsknotę za krajem i na tym terenie usadowiłem zawieszony erotyzm osiemnastu dni celibatu młodego człowieka rozbyczonego słońcem, żarciem i lenistwem. Nawiedzają mnie rozpalone marzenia i sytuacje, w których spotykam się z nią w różnych dzielnicach miasta i o nastrojowych porach roku, kiedy to śnieżycy tumani się wokół lamp gazowych lub też wiatr kładzie mokre liście na skroplone szyby. Kocham się w niej zuchwale i chciwie. Tu, na tym obcym statku i w nie moim świecie, staram się szybkim chodem zniszczyć dur, co się tak nagle we mnie usadowił. Te rozkołysane, szumiące wieczory otulają mi głowę welonem szału, z którego dopiero niezasłużony pracą i wysiłkiem sen mnie wydobywa, aby następnie cisnąć w majaki, gwałtowne zrywy nocne z bezsensownym bełkotem na ustach. Oto do czego doprowadza mnie tu próżniactwo i łatwy byt! Dzień za dniem przecieka, a chandra na przemian z raptowną wesołością bawią się mną jak piłką. Czego też ja się tutaj doigram!

9 LIPCA

Znów snują mi się po głowie jakieś koncepcje literackie. Stoimy właśnie przy burcie, wietrzyk muska nam policzki, jeszcze przed chwilą rozmawialiśmy na poważne tematy społeczne, aż tu pan De zaczyna nagle od słów: „Można by opisać”... Twarz mu przy tym osnuwa podejrzaną natchnienie.

— Można by opisać, uważa pan, tajemnicze wypadki na tym okręcie. Na przykład z lochu uwalnia się przestępca, którego kapitan miał odstawić do jakiegoś portu. Uduje mu się zbuntować majtków, nas zakuwają w kajdany i umieszczają pod pokładem. Ciemno tam, szczury i raz na dzień dzbanek wody i trochę chleba. Kapitana wrzucili do morza, a sami ograbiają okręty, piratują! Tak mija dwadzieścia lat, ja już mam siwą brodę. W końcu okręt nasz tonie, ale my się jakoś uwalniamy i dopiero widzimy, jak się świat przez ten czas zmienił. Na morzu pobudowane są całe miasta, wille i ogrody pływające — uważa pan...

Na szczęście przerywa tę fantazję spod ciemnej gwiazdy kapitan. Pokazuje nam ręką brunatną chmurę na niebie i mówi, że to Ile de Fogo¹⁸. Nic nie widać poza posępnym

¹⁸*Fogo* — jedna z wysp Zielonego Przylądka, znajduje się tam najwyższy szczyt archipelagu, wulkan Pico del Fogo. [przypis edytorski]

konturem podobnym właśnie do chmury. Niżej skłębiły się gęste mgły i na razie trudno było coś rozpoznać. Ale po kilkunastu minutach pokazały się obłe skały, zmartwiałe i dzikie. Wysoko potężnie krater wulkanu. Od tego łądu wieje istna groza samotności i zagubienia. Przesuwamy się wolno i w przykłej ciszy o jakie paręset metrów od smutnego wybrzeża, monotonnie podmywanego falą. Nagle odsłania się daleka i pochyła przestrzeń ceglastego koloru i razem z wichrem uderza w nas pejzaż niewypowiedzianie ponury, bo nawet tych kilkanaście czerwonych domków przylgnęło do twardego gruntu niby jakaś wstrętna wysypka i zieje pustką i opuszczeniem. Nawet kołysząca się łódź żaglowa nie ożywia tej martwicy. Jak gdyby jaki pomór przeszedł nad tym wrzodem wyłaniającym się z morza. Nikt żywy tam się nie ukazał. Pozostawiliśmy w tyle tę brudną plamę bez żalu, a tak się przecież tęskni za łądem. Zaraz też opadły mgły i wjechaliśmy z powrotem na wesoły, złotem i zielenią mieniący się szlak. Siadam do pisania, ale idzie mi to jakoś automatycznie i nawet nie wiem, czy to, co robię, jest barwne i z sensem! Pod wieczór posprzeczaaliśmy się ostro, choć bez słów, z panem De. Graliśmy mianowicie w karty i ilekroć on zabierał mi lewą, pukał w kartę trzy razy palcem i trzy razy unisono fiukał. No to ja znów po każdej lewie odwracałem kartę do niego i przez chwilę trzymałem mu przed oczami. Skutek był taki, że wstaliśmy z błyszczącymi oczami i czerwonymi twarzami, po czym rozeszliśmy się bez słowa. Przeklęte karty, rujnują naszą zażyłość, chociaż te jego sztuczki są doprawdy irytujące. Zbiegłem na pokład i zacząłem tak szybko przemierzać swą trasę, że aż pochwyliłem znaczące spojrzenie dwóch marynarzy, oczyszczających z rdzy tryby od dźwigara. Z tłumionej pasji wyratowała mnie dopiero moja wyniosła Polka, mój nowy, wyczerpujący nerwowo bzik. Raz jest to szlachetna bruneta o wyniosłej postawie, innym znów razem przysadzista blondyna z zadartym nosem. Pierwsza do rozmów i westchnień, druga do wyrafinowanych kawałów cielesnych. Ach Polka, tylko! Tylko! Z żadną inną. Stanowczo!

IO LIPCA

Tak się jakoś stało na szczęście, że rano, zaraz po śniadaniu, interesuje mnie samo tylko wyjście na pokład. Układam sobie nawet pewną kolejność wrażeń. Wytresowała mnie ta podróż. A więc: najpierw zbadam pogodę. Następnie idzie krótka zabawa z kotkami (które już trochę podrosły), dalej przegląd całego okrętu od przodu do tyłu (w tym jakieś manipulacje wzrokiem z Ukraińcami), potem długie, często nawet godzinne wpatwienie się w przestwór oceanu, marzenia, czasem jakaś pogwarka z panem De, bo to rano, na świeżo — jeszcześmy nie zdążyli się znienawidzić, dopiero pod wieczór! Później (jeśli jest słońce, bo zdarza się, że przez jakiś głupi system kokieterii słońca do południa nie ma; niby udaje, że nie jest na co dzień, choć mam go już po szyję!) idę na dziób „opalać się”, tam też marzenia, częsta smutek, tęsknota, wreszcie kąpiel, obiad, trochę pracy (nieudanej!) i potem już pustka, bzdury w głowie, nastroiki — słowem, histeria. Mimo że zawsze wstajemy od stołu pogniwani, znowu grywamy w karty, ale jest to ostateczna konieczność. Wieczorem — znana już rodaczka krew z krwi! Dzisiaj wyszedłem z ciemnego korytarzyka, w przejściu rzuciłem stewardowi, „good morning”, zatrzymałem się trochę przed drzwiami, aby rozejrzeć się w pogodzie. Wicher, mglisto i wilgoć. Okrętem trzęsie, skrzypi, z komina wali tłusty i czarny świder dymu. Koty leżą na kupie, co którego wezmę do ręki, to mi zwisa, ślepia zaspane — wprost nie do użytku. Kapitan przesyła mi ze swoich wyżyn pozdrowienia, pierwszy oficer — ten od wycinanek — też daje mi ręką „pod kazyrok”¹⁹.

Mijam kuchnię, widzę dwóch kucharzy, jeden — ładniejszy i bardziej rumiany — stoi wpatrzony błękitnymi oczami w nieokreślone, z wyrazem smutku, a drugi głaszcze go po licach i coś tłumaczy. Poszedłem dalej, ale dobrze sobie zakarbowalem w pamięci. Już od kilku dni zauważyłem, że między tymi dwoma a stewardem coś jest. Wieczorami schodzą się w kabinie stewarda i we trzech grają w karty. Coś popijają, zaśmiewają się, nie tak jak zwykli mężczyźni, co to jeśli się nie sprzecają, to chociaż grają poważnie i są na przykład trochę źli, że karta nie idzie. Rzecz normalna. A tu chichi, nigdy poważnej miny i (to na pewno pochwyliłem kilkakrotnie, w przejściach) steward z tym kucharzem, co to gaskał błękitnookiego po twarzy, rzucają mu jakieś spojrzenia, w ogóle — co tu gadać

¹⁹pod kazyrok (z ros.) — salut. [przypis edytorski]

— zalecają się do niego. A ten siedzi jakby lekko zażenowany, skromny, ale pogodny. On tu jest ośrodkiem czegoś, bo jak się człowiek ciągle szwenda tu i ówdzie, robi się najrozmaitsze drobne spostrzeżenia. Raz na przykład różowy kucharz stał oparty o barierę i palił papierosa, a steward zbliżył się do niego i objął go w pól. Ale to nie było takie objęcie przyjacielskie, bo i kolanem, i biodrem. A ten nic, palił sobie obojętnie i słuchał, co mu ten szeptał do ucha. I kiedy zbliżał się drugi kucharz, steward się odsunął. Czasem rumiany wygląda rano jakby zmięty, trochę bledszy, z ustami (jak to czasem mają dziewczyny, kiedy się porządnie wycalują) jakby spuchniętymi od pocałunków. Wprawdzie tych spostrzeżeń na czymś takim solidnym nie mogę oprzeć, ale w każdym bądź razie byłaby to sensacja dla mnie niesłychana, teraz już będę baczną zwracał uwagę na wszelkie ich kroki. Co to za głaskanie po twarzy! Chłop chłopca?

Idę dalej, mijam porozwalanych Ukraińców, patrzących na mnie wcale nie jak bracia Słowianie, po czym wspinam się po schodkach na rufę i tu trochę jeszcze zamyślam się nad powyższymi kwestiami. Okręt pozostawia za sobą daleko ślad od śruby, koło nóg moich przesuwają się wielkie ogniwa łańcucha od steru. Spod jakichś worków wyłazi tajemnicza łowczyni — Pessi. Dzisiaj jest dla mnie jakaś łaskawsza. Otarła się trochę o nogę, miauknęła parę razy, a nawet się położyła. Głaskałem ją z pół godziny, ciągle rozmyślając o przeróżnych kwestiach erotycznych, wreszcie wziąłem Pessi na ręce i poszedłem na śródokręcie. Tam rzuciłem Pessi na pastwę małych i zbliżyłem się do pana De. Stał przy barierze, a na mój widok zaczął monologować:

— Uważa pan, ta wyspa wczorajsza jest wulkaniczna, powiedział mi to kapitan.

— Pewnie! Cóż to, nie widział pan wulkanu, stał jak byk?

— Tak, stał. Wyobraź pan sobie tylko takie życie na takiej wyspie. Co? Ludzie, co tam mieszkają, już pewnie zdziczeli w tym osamotnieniu... to jest — panie, temat! Tam akcję — panie — umieścić, to — panie — materiał niesłychany, to...

— Siadaj pan i pisz, co pan ciągle tylko snuje jakies pomysły, chodźmy lepiej pograć trochę, bo dzień dzisiaj mętny.

Pan De jakby tylko czekał na tę propozycję. Zawsze się trochę wstydził pierwszy zdradzać z namiętnością do kart.

— Pan mówi: „pisz”, ale tu, panie, trzeba dać rzecz na poziomie i przemyślaną — tłumaczył mi w drodze do stołu.

Po chwili pograżyliśmy się w ciche misterium wytrzymałości nerwów. Właśnie zacząłem stosować świeżo wymyślony system podrażniania mego partnera, mianowicie monotonne powtarzanie: „Pan, panie Zbyszku, panie Zbyszku, panie Zbyszku... panie Zbyszku, panie Zbyszku” — na melodię ćwiczeń palcówkowych na fortepianie, kiedy raptem wszedł kapitan dziwnie wzburzony, usiadł i ukrył twarz w dłoniach i jakby bredził. Przerwaliśmy grę i przejęci jego dziwnym zachowaniem się, wymknęliśmy się z jadalni. Na pokładzie stali telegrafista i pierwszy oficer, coś gorączkowo sobie przekładając.

— Co mu tam jest? — zapytał ich pan De.

— Jego syn odebrał sobie życie — odpowiedział nam telegrafista. — Właśnie przyszedł telegram.

Przypomnieliśmy sobie, jak często kapitan opowiadał różne komiczne historyjki w związku z tym chłopcem i jak dumny był z niego. Przejęło nas nieszczęście tego człowieka. Cały egoizm okrętu, cała nasza przynależność do niego uwydatniła się w tym wypadku. Dnie miały przemijać dalej, bez możliwości osobistego wejrzenia w swoje nieszczęście — kapitana. Długo staliśmy na pokładzie, omawiając tę przykrą wiadomość. Pod wieczór przysłała jeszcze jedna niewesoła wiadomość. Oto w kanale La Manche zatonał okręt towarowy tej samej kompanii. Słowem, dzionek obfity w zdarzenia.

II LIPCA

Rano kapitan osobiście zawiadomił nas o wczorajszych telegramach. Wpatrywał się przy mrużonych oczach w dżdżystą i wietrzną przestrzeń, pocierał palcem nos i nagle huknął w górę jakiś rozkaz po fińsku. Zdawał się być spokojny, a na jego opalonej twarzy nie widziało się jakiegóż zmiany. Powiedział jeszcze coś w rodzaju: takie to sprawy — i zszedł z maszynistą do hali maszyn. Od wczoraj zauważyłem wzmożoną pracę całej załogi. Marynarze naprawiają brenty, obstukują rdzę i malują na białą ściany śródokręcia. Próbowaw-

łem udawać starą hrabinę, ale pan De odpowiedział mi tak mocnym stylem komsomolca, że zawstydzony umilkłem. Jeden z Ukraińców, Iwaszko, narobił rwetesu w kabinie stewarda. Wykrzykiwał po hiszpańsku, że on też zapłacił za podróż, że dają im byle co do zarcia, ciągle zupa i mało słodkiego. Steward spokojnie krajał cebulę i w milczeniu słuchał mowy, której nie rozumiał. Wreszcie dał Iwaszce pudełko zapalek. Iwaszko, wściekły, pyrznął tymi zapalkami w cebulę i odszedł. Panu De wpadło pod biurko wieczne pióro, ukląkł ze świecą w rękę, aby go poszukać, okręcił się przechylił i pan De opalił sobie prawą brew. Kiedy ją sobie potarł, wszystko się wykruszyło i pan De wyglądał dziwnie, jak źle ucharakteryzowany aktor. Długo stał w lustrze, ale brew nie odrastała. Pióro ja znalazłem, ale było pęknięte i przez tę rysę przeciekał atrament. Wszyscy jacyś podenerwowani. Marynarzowi reperującemu brezent złamała się igła i jej koniec gdzieś mu zginął w palcu. Dwaj koledzy wydobywali mu ją, wreszcie zawołali kapitana, ten lancetem przekrajał palec i wyjął obce ciało. Seria awantur. Koty bez humoru, zapatrzone gdzieś skwaśniałymi oczkami. Zginęła nam także karta — walet karo, szukaliśmy go dość długo i wreszcie okazało się, że był w talii. Czas wstrętny, otaczają nas jakieś wilgotne brudy. Czuję się tak, jakbym zjadł mnóstwo waty, brak apetytu i ospałość — stan dziwny. Wy-marzona rodaczka już mi się „przejadła”. Kapitan nie schodzi do stołu, tylko telegrafista już dwa razy otwierał szafkę w naszej kabinie. Podczas kolacji poradziłem panu De, aby sobie drugą brew ogolił albo opalił, bo wygląda nieprzyjemnie. Spojrzał na mnie przenikliwie i zaczął tak głądzić, że już mi się nie chce tego tutaj streszczać. Chciałbym się rozchorować, może by mnie to nieco rozerwało.

12 LIPCA

Dzisiaj pozycja słońca na niebie jest taka, że cienie nam poginęły. Ledwie że się plącze pod nogami jakaś mała plamka — pokurcz. Obaj z panem De staramy się ten cień wydłużyć i zachowujemy się na dolnym pokładzie dość dziwnie. Przechylamy się, kłękamy, znieacka wyskakujemy z korytarza, ale nic — poza tą pokraką, co się pęta u nóg. Inteligentnie się zabawiamy, nie ma co! W końcu rozchodzimy się z niesmakiem, radzi w ogóle nie zobaczyć się nigdy w życiu. Ja poszedłem na przeszpiegi. Kucharze i steward oraz Ukraińcy. Steward stał u siebie dziwnie przegięty, prawą ręką pieścił Pessi, a lewą mieszał drucianą pałeczką w garnku. Minąłem go i stanąłem w pobliżu kuchni. Błękitnooki kucharz trzymał w rozkroku dużą misę, a drugi przelewał do niej z kubła coś brunatnego. Zwarcili byli czołami jak dwa bodzące się kozły. Miny obojętne. Powłokłem się, aby zajrzeć do hali maszyn, ale stamtąd ciepły wiew musnął mi policzki; w środku jednostajny łomot i wypolerowana czystość. Powiodłem za obojętnym, ale skoncentrowanym spojrzeniem maszynisty, skierowanym na dolny pokład. Na brezencie dwaj Ukraińcy półnago mocowali się, postępując w odstępach. Trzeci leżał w pozycji Kleopatry i czasem wykrzykiwał radośnie: „huuu, ot huu!” Zapaśnicy przewrócili się tworząc miłosną figurę. Iwaszko, który leżał pod swoim przeciwnikiem, wykrztusił:

— Puskaj, ne! Puskaj, ne!

— Ach ty... skatino²⁰! — wołał ten na górze i gniótł go.

Maszynista zdjął czapkę i z zadowoleniem czochrał się po łepetynie. Opuściłem to widowisko, minąłem kucharzy, zgodnie odprawujących coś nad kuchnią, przelazłem przez dwóch marynarzy tłukących młotkami w żelazo i wszedłem do jadalni. Powitał mnie pan De spojrzeniem znużonym i niechętnym, choć nie przerwałem mu żadnego zajęcia, bo stał wpatrzony w iluminator. Rozejrzałem się po jadalni, jakbym tu wszedł po raz pierwszy. Szukałem zainteresowania. Ale nic. Usiadłem w fotelu i zacząłem się kręcić w kółko, na co pan De zaczął mnie słowami:

— Chcesz pan odkręcić starego kręćka?

Zatrzymałem się zdumiony i ożywiony wewnętrznie.

— A pan chce, abym panu powiedział co do słuchu! — wrzasnąłem.

— Pst, co tam z panem będę się wdawał, jak pan nie znasz się na żartach!

I wyszedł.

— Znam takich więcej — rzuciłem za nim bez sensu.

²⁰skatina (z ros.) — bydlak. [przypis edytorski]

Byłem wzburzony. Przecież wyraźnie mnie obraził. Położyłem się na kanapie i w zderzeniu paliłem papierosa. Po jakiej godzinie poszedłem do stewarda i zapytałem go, czy kapitan będzie na obiedzie. Odpowiedział mi, że kapitan będzie jadł na górze. Poszedłem do kabiny i zwałem się na łóżko. Po krótkim czasie usłyszałem, jak pan De pytał się stewarda o to samo. Skończyło się na tym, że dnia tego obaj nie usiedliśmy do stołu.

Dopiero przed kolacją pogodził nas następujący wypadek. Siedzieliśmy w pewnym oddaleniu, bawiąc się z jednym kotkiem, bo dwa gdzieś się zapodziały. Jedynek kolejno reagował na nasze zaczepki i obaj wyczuwaliśmy cichą rywalizację, u którego z nas dłużej kotek zabawi. Wreszcie kiedy kot podbiegł do mojego patyka na sznurku, wziąłem go na ręce i odszedłem. Usłyszałem za sobą gniewny głos pana De:

— To tak się robi! Wybitny rys charakteru, szkoda gadać!

Zawróciłem i puściłem mu kotka na kolana ze słowami:

— Masz pan tego kota, udław się pan nim!

Kot widać wyczuł niedobrą atmosferę, bo kiedy pan De wyciągnął po niego ręce, dał gwałtownego susa i wpadł do morza. Podbiegliśmy do bariery i zaczęliśmy wrzeszczeć jak opętani, tymczasem nieszczęsne stworzenie, miaucząc przeraźliwie, szybko zniknęło nam z oczu. Spojrzeliśmy na siebie z przerażeniem. Zrobiło nam się przykro, tym bardziej że otoczyło nas kilku marynarzy, z którymi nie mogliśmy się porozumieć, i patrzyli na nas podejrzliwie. Wreszcie przybiegł telegrafista, za nim kapitan. I kiedy dowiedzieli się, o co chodzi, spojrzeli obojętnie na morze i odeszli. Położyłem swoją rękę na ręce pana De, on uczynił to samo i tak staliśmy bez słowa długą chwilę. W końcu bardzo zmartwieni usiedliśmy w jadalni i już przez cały wieczór smutno rozmawialiśmy o przykrym zdarzeniu. Odczuwaliśmy niesmak i bezradność. Wprawdzie kapitan, który zszedł na kolację, pocieszył nas, że te koty i tak miał zamiar potopić, a zostawić tylko Pessi, ale nam ciągle było nijako, bo myśleliśmy o przyczynach, które to spowodowały. Zepsuł powagę tego wrażenia pan De, kiedyś już leżeli w łóżkach. W pewnej chwili ziewnął i powiedział:

— A tam! Jeden kot więcej, jeden mniej!...

Nic nie odpowiedziałem.

13 LIPCA

Pogodna sobota. Na dolnym pokładzie marynarze golą się wzajemnie i strzygą. Jako dodatek do tej higienicznej grupy poszczekująca, żywa piłka — suczka. Nastrój na okręcie jest wiosenny, morze wesołe i jasne, w powietrzu świeżość. Słońce już zaprzestało głupiego kawału ze zniknięciem cienia. Jest cień, niewielki, ale jest! Rusza się i towarzyszy. Niby głupstwo, a jednak dręczy ten kotek, co się utopił. Jego rodzeństwo baraszkuje po dawnemu, tylko Pessi niespokojnie pomiaukuje — niespożyta poszukiwaczka. Pan De zjawił się w czystej koszuli, starannie uczesany, w sztuczkowych spodniach, rannych pantoflach, stanął blisko mnie i czyszcząc sobie pilniczkiem paznokcie, tak zaczął mówić:

— Nie mam do pana pretensji, ale kot utopił się wczoraj z winy pana. Bo po cóż pan postąpił tak złośliwie, zabierając mi go sprzed nosa? Po cóż?... patrz pan, jaki ładny dzień dziś mamy. Na niebie błękit przeczysty, morze rozkołysane... Czy uprał już pan sobie bieliznę? Ja mam dwie zmiany, upierz pan sobie, upierz!

— Nie upiorę — powiedziałem z uporem.

Znów mnie podenerwował. Wygląda jak subiekt na letniakach — sztuczkowe spodnie²¹! Swoboda w ubiorze i ta powierzchowna czystość! A na pantoflach plamy z pasty do zębów. Odszedłem do przeciwległej bariery. Błękitnooki kucharz opracował dużą rybę, skrobał ją, aż łuska bryzgała wokół. Drugi znów zrobił z siebie czupiradło. Włosy rozczesał na skronie, na „polkę” i siedł z kubłem po wodę, kołysząc się w biodrach i migając gołymi piętami na przydeptanych pantoflach. Niby czysty, a fładra. Z gracją podstawił kubek pod kran i smutno a tkliwie spojrzął na kolegę. Błękitnooki wygląda na takiego, co to pozwala się kochać. Jest nieśmiały, ale trzyma się na dystans. Dwie wywłoki przewrażliwione i pełne uczuć! Przynajmniej steward zachowuje się po męsku i co rusz, klapnie niuniusia w pośladek albo schwyci go za kark. Zalotnicy mętni. Muszę pójść prac, bo co mam

²¹ *sztuczkowe spodnie* — klasyczne męskie spodnie, najczęściej z flaneli i w kolorze szarym w prążki. [przypis edytorski]

robić? W słonej wodzie mydło się nie chce pieniść, więc wlewam kilka kubłów do wanny i zaczynam idiotyczne zajęcie, którego nie umiem. Różnie sobie myślałem podczas tej roboty. Mętnie, rozmaicie i w zapiekłym gniewie. Porozwieszałem sztuki na wystających przedmiotach i wytarłem wymokłe, pomarszczone ręce. Usiadłem do maszyny i z pasją zacząłem bębnić, co mi do głowy przyszło. Napisałem wszystko, co myślałem o panu De, o tych trzech skołowanych bubkach, i wreszcie napsioczyłem ile wlezie na okręt. Potem wyjąłem zapisany arkusz, przeczytałem, podarłem i skrawki powoli wrzucałem do morza. Następnie pożyczyłem u pierwszego oficera patefon i zacząłem puszczać płyty. Słuchałem rozwalony w fotelu, otaczając się kłębam dymu. Co tu gadać! Zrobił się ze mnie nie lada histeryk, ale nic — jedziemy dalej! Wchodzi kapitan ze stewardem, podnoszą kanapę i wyjmują ze środka paczki fińskich papierosów, steward je liczy, a kapitan zapisuje. Wynalazł sobie to zajęcie na uspokojenie nerwów. Zauważyłem, że po fatalnej wieści kapitan jest niezwykle czynny. Wszędzie go pełno. Staram się być delikatny i zamykam patefon. Spostrzegłem ulgę na jego twarzy. Wysunąłem się na pokład i po raz nie wiem który stwierdziłem, że się nic nie dzieje. Kładę się na przednim pokładzie twarzą ku słońcu i od razu w tym kontakcie z górną pustką popadam w fantastyczne mrzonki. Niby nic, sama jednaka jasność, a jednak to i owo tam się dzieje. Mała rozwichrzona chmurka ma najwyraźniej kształt puciołowatej dziewczynki w bereciku. A nieco dalej znów łysa głowa Juliusza Cezara. Między nimi coś w rodzaju ptaszka z ludzkimi nogami. Ptaszek się wymyka, obie głowy na krótko łączą się w pocałunku i zaraz zmieniają w brodatego starca z bolesną miną. I jeszcze wiele innych podobnych rzeczy. Taki ruch w niczym! Ha. Myślę także o tym, żeby z morza wyjrzał olbrzym, wziął nasz okręt do ręki, pogmerał w nim paluchem, zepsuł to i owo, a potem ze wstrętem odrzucił.

Na skroni dotyka mnie coś ciepłego i wygodnego. Powinienem się przestraszyć, ale leżę nieruchomo, jakby to było coś wiadomego. Samo się pokazuje po chwili. Czuję dwa lekkie uciski na ramieniu, a nad uciskami mordeczkę suczki z oczami tak zdumionymi, że otwieram usta w uśmiechu. Czuję tylko jeden ucisk, odwracam głowę i widzę, jak stoi oparta jedną łapką o moje ramię, cała znieruchomiła z niepohamowanej ciekawości. Ale że nie ma w moim wzroku nic złego, więc nagle zaczyna wdzięcznie krygować się wokół mojej głowy, zębami targa za włosy, słowem, najczystsza radość jest w tym piesku. Czuję się prawie szczęśliwy, tak mnie to bawi. Stosuje jakieś przemyślnie zaczepki, przypada do podłogi badawczo wpatrzona we mnie, potem nagle się zrywa, przednimi łapkami porusza w powietrzu, to znów kładzie się na grzbiet, bezwładna i oddana, z wyrazem oczu jakby mówiła: „Ja tu leżę obok ciebie zupełnie bezbronna i oddana, toteż myślę, że mi chyba nic złego nie zrobisz... Bądź dobry! Ufam ci!” Pieszczę ją łagodnie dłonią, próbuje leciutko kąsać, ale widać przychodzi jej na myśl, że mogą tę zabawę źle zrozumieć, więc leży ze zmrużonymi oczkami; uosobienie dobroci i niewinności. Ale po chwili przechodzi jej pan właściwy — wąsaty marynarz z kubłem w ręku, więc zerwała się do niego i zastałem znów sam. Po niebie przesuwa się teraz anioł z cygarem w głowie. Siada obok mnie pan De i pyta:

— Uprał pan?

— Aha...

— No to chodźmy teraz sobie pojeść, bo to już pora.

Podnoszę się i patrzę na suczkę. Leży obok swego wąsala, w tej samej pozie, co niedawno przy mnie. Idę ciężko na górę i rozmyślam sobie: a cóż ten tak gwałtownie woła mnie na ten obiad! Jakby po jakiej ciężkiej robocie; upragniona chwila wytchnienia!... Idzie za mną i mówi nowinę:

— Jakaś deska przypląnęła, patrzałem przez lornetę, ale nie udało mi się zobaczyć, co to za deska!

— Z drzewa pewnie — odpowiadam siadając do stołu.

— Bierz pan śledzika i nie marudź pan — powiada arbitralnie.

Wchodzi kapitan, zwykłym ruchem ciska beret i woła:

— Olrajt!

Obiad jak wszystkie tutejsze obiady: obiadowy. Całe popołudnie pisałem o rzeczach dalekich od mego życia na okręcie; o obcych temu życiu sprawach. Teraz właśnie nadchodzi zmrok, puszysta ciemność zdaje się mięciutko układać na odurzonych wodach, słońce jest blisko koliska, co oddziela morze od nieba i wygląda tak, jakby ktoś rozczapierzone

palce przytknął do czerwonego klosza. Wszystko, co widzę, jest w kolorach, które pożera główny — czarny. Ale to, co widzi pan De, jest inne, bo on mówi:

— Patrz pan tylko, jaki cudowny zachód słońca.

Wreszcie palce się połączyły i słońce zginęło. Pewnie w wodę wpadło, tylko dziw, że nie zaskwierzało. Jeszcze po niebie kładą się purpurowe desenie, pełne dziwacznych postaci. Wreszcie zaciekło wszystko widzialne czernią i ciszą, która ciągle trwała, jak gdyby jeszcze spotężniała. Wprawdzie dudni maszyna okrętu, ale to już inna sprawa. Cisza ciszą. Powróciłem do kabiny przyjemnie zgnębiony, jak człowiek, który się czuje wtedy dobrze, kiedy się czuje źle. A za mną taszczył się głos pana De:

— Ach, jakie cudne... co ta przyroda wyprawia nieraz...

14 LIPCA

Jeszcze nie odszedł mnie dur senny, jeszcze oddział wojaka na koniach i w hełmach z pióropuszcami otacza powóz z ładnym starcem, który się kłania cylindrem, jeszcze po rozwartych ustach tłumy poznaję, że krzyczy, i chorągwie trzepoczą na kijach... i barwy rozbarwione — a wszystko jedno wesele, i ciężą mi zamknięte powieki, a w głowie jeszcze tłok, aż tu i twarz czuję, a twarz ta ile wlezie bierze po pysku od rzeczywistości. W kabini jasno, kabina cieszy się i pyszni swoją ciasnotą w słońcu. Jakiś dwie rzeczy zwisają nade mną. Ależ to gołe nóżki pana De. Bujają się; na ogół białe, tylko koło paznokci udekorowane czarnym obramowaniem, a także i piętki bursztynowe.

— Co mi pan zwiesza jakieś festony, weź pan te nogi! — krzyczę wesoło.

Wstaję lekko i po zabiegach toaletowych i posiłku wychodzę na pokład. Tym razem coś się stało nareszcie, bo zamiast mizdrzących się fal widzę porządne góry, a na stokach przycupnięte miasteczko i różne budowle dalej. Jest wreszcie na czymś spocząć oku. Góry są lysy, brunatne, dalekie — a powołutku bliższe. Schodzi kapitan; w granatowym mundurze, złoto na czapce, galony. Jest w białym kołnierzyku i czerwonym krawacie. Lakierki. Biję od niego spokój i trochę zadowolenia. Wyjaśnia mi, że to Teneryfa, że dojeżdżamy właśnie do miasta Santa Cruz. Po okręcie włączą się donośne dźwięki i słychać przenikliwy bulgot opuszczanego łańcucha. W ogólnym ruchu i hałasie pochwytyuję jęk dzwonka, zaraz przestaje, ale nie pamiętam, jak długo przedtem dzwonił. Koło okrętu już wiercą się łódki pełne nieważnych rzeczy, należących razem z łódkami do nieładnie ubranych właścicieli. Na łądzie wzdłuż zatoki biegnie kamienna droga, a po niej przesuwają się małe, obojętnie żyjące swym życiem — samochody. Nad drogą spiętrza się brunatna i posępna, prostopadła ściana. Ale to jedno co ponure, wszystko co dalej wygląda jak na obrazku oglądanym przez powiększające szkła. Tylko świeższe w barwach i widać życie. Ale nic nie okazuje zdziwienia naszym przyjazdem, a tu szesnaście dni bez ładu! Czyśmy też nie powariowali? Obejmuję pana De; wszystko nic, kocham go! Dalej, wysztafruję się jak jasna cholera! Białe ubranie, jedwabie! I na ład, na ład! Koszule już są suche, daję je stewardowi do wyprasowania nie pytając, czy chce i czy może to zrobić. Jestem tak ożywiony, że zaczynam się tym ożywieniem niepokoić. Wymyty, wyświeżony na twarzy, w spodniach i w pantoflach, zaglądam co chwila do kabiny stewarda. Wyrrywam mu ją wreszcie spod żelazka. Ubrany już, przeglądam się w za małym lusterku. Wyglądam świetnie! Dla mnie — jestem wprost... no, bardzo! Zgrzany i z wypiekami wylatuję na pokład. Schodki już opuszczone, na dole kołysze się motorówka. Pan De ogląda mnie na wszystkie strony i mówi:

— O, to pan już gotów... A to co? Z tym pan wyjdzie?

I palcem robi krychę koło swego nosa. Biegnę do lusterka i cóż? — tam są nieładne wąsy nie wąsy — zmierzwione kłaczki. Tak się do nich przyzwyczaiłem, że nawet nie zauważyłem, jak mnie ośmieszają. Kolor też paskudny — nie rude, nie blond. Gołę toto. I czuję jakby ulgę, bo przecież ciągle bolała mnie górna warga i nie zauważyłem, że to od nerwowego szarpania tych wąsów. Niby nieprawdopodobne, a przecież! Położyłem chusteczkę na żelaznym słupku i usiadłem. Nagle ogarnia mnie przesył, jakbym już był na łądzie i czort wie czego tam nie nawyprawiał. Stoimy o paręset metrów od brzegu, patrzę tam — ślicznie. Muszę tam pójść, pochodzić sobie po wybrzeżu i dobrze przyjrzeć się „Orientowi”. Tak, nareszcie ja na niego, z ładu, z nieruchomości i niezależny od tego pudła. *Wyjść!* Oto moje pragnienie. Pójść w miasto, w ulice; móc patrzeć na *rozmaite*.

I na niego — tak, między innymi. Szesnaście dni — to tak długo, że mogło być ich sto, wszystko jedno. Ten przesyty chyba musiał mieć coś wspólnego z pozbyciem się wąsów... Sam nie wiem, co, ale to było — fakt! Podczas gdy tak zmienne doznania przenikają moją jaźń, oko ciągle błądzi po wybrzeżu. Kilka zastygłych okrętów sterczy przy kamiennym bulwarze. Dochodzą mnie stamtąd przytłumione sygnały pojazdów i odgłosy zbiorowego życia miasta. Słońce wytwarza jakby pył, który lekko przesłania wyrazistość widoku. Przenika mnie tłumione podniecenie. Złapałem się na kilku gwałtownych poderwaniach ze słupka, który posiadał logiczną siłę przyciągania mnie z powrotem. Wreszcie pojawia się pan De: białe ubranie, wcięta marynarka, kształtne białe półbuty. Aż dotąd wszystko dobrze.

— Zdejm pan ten berecik granatowy, przecież ten kolor żre się z całością! Jesteś pan wysoki, a wysokim jest niedobrze w granatowych beretach!

— Mój drogi panie, pozwól pan, że będę nosił na swej głowie to, co uważam sam za stosowne — mówi ten trudny do rozgryzienia człowiek.

W ogóle ma minę obojętnego człowieka z charakterem, który nie uwidacznia swych wzruszeń. Rozgląda się poważnie i jeszcze silniej naciska beret. Pokazuje palcem (małym palcem na takie duże, cudowne miasto!) w stronę miasta i zwraca się do mnie:

— A co będziemy tutaj stać, nie pojedziemy do samego brzegu? — I dalej nie czekając mojej odpowiedzi: — A co, pan wychodzi z gołą głową? Mój panie, niechże pana mój beret nie obchodzi, dobrze?

Już nic nie mówię, tylko wspinam się na górę, aby zapytać kapitana, jak to będzie z dostaniem się na ląd. Nieśmiało zaglądam do jego kabiny; siedzi przy stole w towarzystwie kilku eleganckich mężczyzn o twarzach, którym umiejętność lawirowania w zmiennych kolejach życia nadała dość znany, nieciekawy wyraz. Grupa ta sprawiała wrażenie, jakby poczyniła między sobą zakłady, kto dłużej wytrwa w milczeniu. Ktoś tu kogoś chce nabrać, powiedzmy to sobie otwarcie. Kapitan na mój widok uwolnił szklankę z whisky od uścisku dłoni i podszedł do mnie.

— Na razie zostaniemy tutaj, ci panowie zabiorą panów ze sobą na motorówce. Już wkrótce.

Rozeszliśmy się w swoje strony: on do stolika, a ja na dół. Przed wjazdem do wszystkich portów na świecie jest taka chwila, kiedy raptem wkracza na okręt kilku nonszalanckich typów, kapitan prowadzi ich do swej kabiny, zaraz potem steward wnosi szkło z lodem i butelkę whisky na środku tacy i na całym okręcie odczuwa się denerwującą atmosferę oczekiwania, jakiejś tajności, omal że się nie chce chodzić na palcach. I taki niepokojący stan przechodzi się do chwili, kiedy czterech bezczelnych na gębie drabów nie opuści okrętu. Przechodzi się stan oczekiwania, że coś nastąpi lub że wykryje się przestępstwo, którego się nie popełniło. Tak i teraz pan De gładzi palcem swoją opaloną brew i mówi:

— Jak tam, długo jeszcze te baciary²²?...

— Niedługo. Chlają i coś knują, ale zaraz mają jechać.

Przechadzamy się po dolnym pokładzie nieco sztywnie na skutek „niecodzienności” ubioru. Uważamy także, aby się nie pobrudzić. Na okręt przedostali się dwaj tandeciarze, rozłożyli towary na pokładzie i pilnie obserwują przedmioty oglądane przez marynarzy. Jaskrawą i niechlujną plamę tych paskudztw obstała grupa ludzi porozumiewających się na migi z właścicielem tych cudów. Towar jest rozmaity: barwne chustki, mydełka, butelki z wodą kwiatową, zapalniczki w kształcie maleńkich aparatów fotograficznych, fajki i angielskie papierosy. Stoimy w pewnej odległości od tych przedmiotów i z nieufnością spoglądamy na ten handel. Ożywia nas wreszcie widok kapitana w towarzystwie gości. Na dole zaturkotała motorówka. Kapitan przedstawia nas czterem panom o twarzach z wyrazem krytego zadowolenia. Trzech z gestem sytości paliło cygara, natomiast czwarty z czułością przytykał nos do jakiegoś kwiatka. Tak się zachowują ludzie po dobrej wizycie. Kilkakrotnie ustępujemy sobie pierwszeństwo przy zejściu do łodzi, w końcu musiałem ustąpić. Schodzę, oglądam się — nie ma pana De. Usadowiliśmy się na ławeczkach, aż tu i onże... w miękim, filcowym kapeluszu. Siada obok mnie i ruszamy. Nie mogę długo wytrzymać w delikatności i mówię:

²²baciar (batiar) — „człowiek ulicy” w gwarze lwowskiej. [przypis edytorski]

— A jednak zostawił pan to świństwo!

— To znaczy, że mam zmienne gusta, mój panie.

Rozmowa między kapitanem a czterema panami jest lekka i wesoła, a twarze rozluźnione uśmiechem jak to zwykle bywa po interesie. Wyskakujemy na brzeg, zaraz też żegnamy się z panami, z kapitanem naznaczamy sobie jakieś niezobowiązujące spotkanie i solidnym, lądowym krokiem dzwoniemy po kamiennych płytach. Nerwowy wietrzyk wydobył mi krawat spod marynarki i furkocze nim jak chorągiewką nieokreślonego zwycięstwa. Pan De przytrzymuje swój kapelusz. Odwracam się i patrzę na tę szelmę. Jaki mały i popielaty — niewiniątko! Zgrabniutki, sterczy na wodzie i — ma minę zawiedzioną. Już cię kotwica dobrze trzyma, ty perfidny draniu! Idę dalej, ale nie osiągnąłem pełni satysfakcji. Winien pewnie byłem ja, skoro sobie nie umiałem życia na nim ułożyć. Raptem wkraczamy w ruchliwy plac. Bez słowa wchodzimy do chłodnego wyszynku, zajmujemy stolik i pan De jakimiś cichym głosem zamawia dwa duże piwa. Obok siedzą trzy jasnowłose, zakochane w nas od pierwszego wejrzenia — czemu dają wyraz wzrokiem i gestami — Francuzki. Chyba Francuzki, bo paplą w tym języku. Nie zwracamy na nie uwagi, widać przepaliło się w nas pożądanie. Odczuły to, bo całą swą emanację miłą skierowały do dwóch Anglików. Chyba Anglicy, bo po angielsku rozmawiają. Pijemy następne piwo. Przez otwarte drzwi widzimy plac. Usadowiła się tam — niedziela — rumiana blondynka — i sprzedaje sandwicze z próżniactwa, nudy i wypoczynku. Wypiłem do dna. Gdyby pan De mógł odgadnąć moje myśli, porwałby się chyba od stolika z okrzykiem grozy. Ale on zamawia piwo, lecz zaraz zatrzymuje kelnera i mówi do mnie:

— Może byśmy się napili whisky, bo to piwo... tyle płynu?

W oczach moich wyczytał zgodę. Siedzimy dalej bez gadulstwa. A więc na placu niedziela... nie, dajmy temu spokój. Dlaczego ci Hiszpanie ubierają się tak czarno? Przecież słońce. Dziewczeta też mają na główkach czarne koronki. Dlaczego policjanci noszą czarne pudelka na głowach, lśniące i dziwacznej kształtu? Anglicy nie oparli się jasnowłosym Francuzkom i całe towarzystwo opuściło wyszynk.

— Gott strafe England²³...

— Co pan mówi, panie Zbyszku?

— Nic, takie... po niemiecku!

— No to może by pójść na obiad?

— Dobrze, tylko jeszcze przy bufecie napijemy się czego, niech doliczą do rachunku.

Wstajemy i podchodzimy do bufetu. Pogodny brunet nalewa nam dwa koniaki. Pan De po wypiciu wydaje dziwny dźwięk; coś między westchnieniem i stęknieniem. Ja zrobiłem to w zupełnym spokoju i zjadam bułeczkę ze schabem.

— Płacę! Ja płacę!

— Ależ daj pan spokój, ja!

— Nie, to moje!

— Koniak mój!

— Wszystko ja!

— Dlaczego?

— Bo ja!

— No po połowie?

— A niech będzie!

Potem — uważacie — szliśmy niedzielą, hiszpańską ulicą pod górę. Ulica była wąska, ale w nas usadowiło się absolutne szczęście i było nam szeroko. Potem siedzieliśmy na jakimś podwóreczku z palmami w doniczkach, przy stoliku z winem w glinianej karafce. Jedliśmy gotowaną kurę z gotowanym grochem i włoszczyzną. Polewaliśmy kurę oliwą i popijaliśmy wino. Było chłodno i po domowemu w tym lokalu. Obok Hiszpan z baczkami i w czarnym wążutkim krawacie jadł marynowaną cebulę i także pił wino. Uniosłem szklankę do góry i zacząłem w te słowa:

— Być może, że często na tym statku byłem niezośny, ale to przecież, jak się tak jednostajnie żyje we dwóch...

— No, to prawda! Nie był pan tam uroczy i ma pan dość złośliwe usposobienie.

— Tak, ale przecież panu przytrafiło się to i owo.

²³ *Gott strafe England* (niem.) — Boże, ukarż Anglię. [przypis edytorski]

- Jest pan jeszcze młody, brak panu opanowania.
- Trudno, wypijemy!
- Wypić możemy... zresztą co tam o tym gadać... chociaż w kartach jest pan niemożliwy.
- Dajmy spokój, przecież nie po to tu siedzimy, aby sobie wypominać tamte głupstwa.
- No pewnie, ale mnie też jest nieprzyjemnie... zawsze jestem trochę starszy...
- Ale śpiewa pan podczas gry! Naumyślnie, aby mnie irytować.
- Pan co prawda też ma swoje sztuczki od siedmiu boleści. Ja tam nic nie mówię, ale czasem...
- Dosyć, chodźmy się lepiej przejść albo na kawę, tam — na ten placyk.

Mimo wszystko wyszedłem w upojeniu. Pokazywałem panu De co chwila jakieś rzeczy godne uwagi, ale on już z natury niczemu się nie dziwił i tylko mówił: „A tak, owszem”... Potem piliśmy znów kawę i koniak. Później znów pojechaliśmy małą łódeczką na okręt i przebraliśmy się w smokingi. To nie był mój pomysł, choć mój być powinien. Łódeczka odjechała i w smokingach krzyczeliśmy z pokładu w otuloną zmierzchem i pustą przestrzeń jak rozbitki wzywające ratunku. Pomagali nam marynarze gwizdami na palcach. A miasto przyzywająco mrugało światłami i w ogóle była cisza. W końcu na aksamitnej toni zauważyliśmy smukłą płamę jakiejś łódki, która zatrzymała się i męczyła nas swoim niezdecydowaniem. Wreszcie podjechali trzech rybaków w łódce przepelnionej jakimiś gratami z dziedziny rybołówstwa. Stojąc, podjechaliśmy do brzegu. Pozostawiliśmy najstarszego rybaka ze srebrną monetą w dłoni w pozie pełnej mistycznego zachwyty na kłęczkach. W smokingach i bez kapeluszy szliśmy drogą, uskakując przejeżdżającym samochodom. Potem weszliśmy do baru z szyldem „Zanzibar”. Ach, jak tam było wesoło — tummy ludzi, muzyka, nieznajome dziewczęta całowały nas w usta i prztykały wylakierowanymi paznokietkami w nasze gorsy.

18 LIPCA

Tak, to prawda! Dziś jest osiemnasty lipca. Gdzieś się zapodziały trzy dni i dziś tylko wspomina je obolała głowa w niejasnych fragmentach. Leżymy na swoich łózkach, czując taki wstręt do siebie, że jeden zna wprost myśli drugiego i cała kabina przesiąknięta jest tym wstrętem. Oczywiście, jesteśmy już w drodze, widzę to po wolnym i wahadłowym ruchu pewnego łańcuszka. Odjazd przespaliliśmy i cały pobyt w Santa Cruz może się wydać chorobliwym majakiem, który pozostawił (we mnie przynajmniej) straszliwe fizyczne następstwa. Dla wyjaśnienia muszę wyznać, że krótki belkot ze stewardem powiadomił mnie o dacie. W tej chwili właśnie nawiązuję kontakt z okrętem po koszarnej przerwie pobytu na lądzie. Po prostu właśnie obudziliśmy się. Pan De także nie śpi, czuję to, choć leży cicho. Jest jakiś parszywy kolor za oknami: wilgotna siność. I trudno się zorientować, czy to świt czy zmierzch. Zegarek wskazujący na piątą też mi nic nie mówi, tym bardziej że pada deszcz i skrapia szyby iluminatora. Czuję się wprost okropnie. W głowie usadowił się jakiś piekący polip, każda myśl zdaje się nieszczęściem, a wspomnienie wprost boli. Wstaję, zatacam się od potknięcia o jakieś przedmioty (choć mam wrażenie, że gdybym się nie potknął, także bym się zatoczył!) i przekręcam kontakt. Światło ukazuje stertę łachów na posadzce, wśród których rozpoznaję swój smoking. Na szczęście jestem w piżamie. Na górne łóżko boję się wprost spojrzeć.

Powłokłem się do łazienki i w wannie zaczęło mnie opuszczać odurzenie po to, żeby już wyraźnie zdać sobie sprawę z fatalnego stanu. Przede wszystkim, niby stado psów, opadły mnie jakieś nie umotywowane wstydy. Ze straszliwej luki w pamięci wychynęły potworki nie uświadomionych jeszcze, zaledwie przewidywanych czynów. Idiotycznie i z uporem począłem starania, aby w ogóle nie myśleć, ale udręka rozumowania nie opuszczała mnie ani na chwilę. Czysty na ciele, czułem wewnątrz warstwy lepkiego brudu. Bolały mnie stawy, w ustach czułem jakby zanieczyszczoną ranę. Wypłukałem usta i oczyściłem zęby, po czym wróciłem do kabiny. Z miejsca odurzyła mnie cała gama przeróżnych smrodów. Ze strachem zbliżyłem się do lustra i ujrzałem tam opuchniętą gębę z wywieszonym białym językiem. Oczy obce i wypukłe. Podniosłem smoking i zacząłem myszkwować we własnych kieszeniach. Wyjąłem trochę drobnych monet, zmięty paszport

z odklejoną fotografią, dwie rozpuszczone czekoladki, zwiędłą różyczkę i trochę twardych okruchów czegoś. Zielone pióro — najświętszy podarunek od najświętszej, jak mi się kiedyś wydawało, osoby — marki Parker przejęło mnie wprost szaloną radością, skoro je ujrzałem całe i bez skazy. Poza tym pyszny strój wieczorowy był popielaty i w plamach, a także obok kieszeni wyglądały bebechy płótna i podszewki z dwucalowego rozdarcia. Porozwieszałem te rzeczy, gdzie należy, garderobę partnera wcisnąłem w kąt, włożyłem spodnie i poszedłem do stewarda zapytać go o porę dnia czy nocy. Powiedział mi, że jest ósma wieczór. Wróciłem jeszcze do kabiny, aby spojrzeć na swój zegarek. Wskazywał piątą i nie wydawał wiadomego odgłosu. Wyjrzałem jeszcze na pokład i zaraz cofnąłem się, bo łało i słychać było zniechęcony zgrzyt szufli. Usiadłem w jadalni przy zastawionym końcu stołu. Ściany lekko drżały i ja się też trząsałem. Czuję się w tej chwili tak, jakbym w ogóle nigdy nie wyjeżdżał i kilka nocy spędził w jakichś warszawskich spelunkach. Przenika mnie wstyd, którego żadnym rozumowaniem nie mogę się pozbyć. Straciłem absolutnie poczucie egzotycznych wrażeń, jakie się we mnie przez cały okres podróży nagromadziły. Opanowała mnie straszliwa szarżyzna, bolesna rzeczywistość życia z całą jego namacalnością, z pospolitością otaczających mnie przedmiotów. Odsunąłem się ze wstrętem od konserw i zimnego mięsa. Nieudolnie próbuję myśleć, że przecież jest to zwykle nadużycie trunków i niewyspanie, że przecież jutro będzie lepiej, że mogę przecież rozpocząć inne, solidne życie. A cóż tak znów wysoko zmierzasz, co to ma wspólnego z solidnością, to ordynarne i nieopanowane wytarzanie się w rozpuście?! Jesteś zwykle bydlę bez odrobiny charakteru. Prawda, ale widocznie ta długa rozłąka z lądem tak na mnie podziała. Nie okłamuj się. Przyzwoity człowiek może sobie pozwolić na małą hulankę, ale skoro przyjedzie do obcego i pięknego miasta, nie będzie się szargał przez trzy dni, aby potem w ogóle nie móc nawet w przybliżeniu określić, jak to miasto wygląda. Żeby w ogóle nic nie zwiedzić, nie nacieszyć się tym stałym lądem, którego tak pragnął! W twarz tylko takiemu napluć się godzi! No, sumienie tym przyzwoitym człowiekiem się zarżnęło. To dla mnie jakiś nowy termin. Przyzwoitość! Co to znaczy? Może opanowanie, takt, spokój i uczciwość? Nie, tak ze mną nie trzeba było gadać, braciszku! Jestem sobie zwykły żywy i niegłupi człowiek, przede wszystkim żywy. Popelniam wprawdzie błędy, ale nie ma we mnie nic z nikczemności. Może trochę za bardzo się rozbuchałem w tym hiszpańskim mieście, ale nic podłego nie uczyniłem. Przede wszystkim jestem teraz po prostu fizycznie chory. Daj mi spokój, głosie wewnętrzny! Wezmę teraz aspiryny, napiję się gorącej herbaty i pójdę do łóżka. Jutro pogadamy. A co do oglądania miasta, zostawiam je angielskim pięknoduchom. Ja na pewno więcej od nich zobaczyłem, mam dar wyczuwania nastroju, wierzaj mi. Poleciłem stewardowi przygotować sobie herbaty. Leżąc w łóżku połknąłem dwie aspiryny, popiłem to herbatą, ale to wszystko, co przed chwilą myślałem, jakoś mnie nie uspokaja. Przekłete nerwy. Gadu, gadu, ale w mózgu wykluwają się jakieś kosmate zwierzaczki i wyprawiają na nerwach łamańce niby małpy na lianach. A co to jest z pieniędzmi? Losie, bądź miłościwi! Wyskakuję z łóżka i otwieram walizkę. Są, ale ile! Czy też aby jakichś pożyczek nie narobiłem. Już go nie będę pytał, sapie tam, przewraca się z boku na bok; nic nie zażył...

19 LIPCA

Od rana porządkuję notatki, gwałtownie staram się coś robić, aby zagłuszyć uporczywe wewnętrzne wymówki. Czuję się ciągle słabo, umysł sączy jakieś bzdurne myśli, papierosy mi nie smakują. W przejściu mijam się chłodno z panem De (być może, że się z nim przemówiłem i teraz tego nie pamiętam, ale o co?), w kabinie znów ponuro przyglądam się rozdarcie smokingu. Szukam pieniędzy. W bocznej kieszeni znajduję jeszcze dwa bilety wizytowe: „Alberto Essaba — Redactor Social” oraz „Oscar Stanley — Capitaine au Long-Cours”. Co to jest? Nie znam tych panów! Jedyna pociecha, że ludzie na jakichś stanowiskach. Czy też da się to jakoś zacerować? Kieruję dziwnie miękkie kroki na powietrze. Znów śłota na morzu. I chłodno. Ogarnia mnie podczas oglądania się po tym tak wiadomym i bez niespodzianek okręcie coś w rodzaju wdzięczności i wzruszenia. Oto przyjął mnie do siebie, brudne czyny moje pozostawił na lądzie i uwiózł. I oto znów chodzę po nim niedbale ubrany, bez blichtru lądowej elegancji, a każde tak dawniej zniechęcone głupstwo stało się po krótkiej rozłące miłe i bliskie. To nic, że przenika

mnie mżąca wilgoć! Zaglądam w znajome zakamarki, z niechlujnej komórki wyciągnąłem indywidualistkę... Pessi! Zwisa mi w rękę bierna i obojętna. Na rufie przesuwają się tajemniczo ogniwa steru, wiatr wzdyma mi koszulę i furkocze nogawkami spodni. Za burtą syczy rozbita fala i odchodzi w pianistych kręgach. Nie jest on piękny! Jest brzydki i stary, przemalowany wiele razy, sztukowany i w latach. Ale posiada mnóstwo ciepłych w kolorze zakątków i wszędzie pojawia się pewien szyk zużycia. Jego postękiwania zdają się budzić podziw dla wysiłku, a doskonała obojętność zobowiązuje koniec końców — do szacunku. Pograżony w tej niespodzianie przychylniej analizie wdzięków „Orientu”, pochwyciłem znane mi już tkliwe spojrzenie aktywnego kucharza. Stał z ręką opartą na ramieniu błękitnookiego, który w zażenowaniu i ze spuszczoną głową coś szeptał. Ci przynajmniej, mieli swoje życie — ciągle wyczuwało się między nimi jakiś niezwykajny kontakt. Zmieniłem w kabinie wilgotną koszulę i w trakcie tej czynności doszły mnie z tyłu te słowa:

— No, jak tam po rajskim weselu, co?

Odwróciłem się. W drzwiach stał pokornie uśmiechnięty pan De. Zaraz też zauważyłem, że taki uśmiech nie przystoi orlonosemu.

— Czy ma pan na myśli nasze lumpowanie się w Santa Cruz?

— No pewnie! Chciałem pana przeprosić za te moje wyczyny w niemieckiej knajpie, ale — widzi pan — człowiek się urżnie i potem nie wie, co robi.

Szybko się połapałem w sytuacji.

— A tam, głupstwo. Jak się tak długo żyło z dala od ludzi... takie puste dnie.

— Wiedziałem, że z pana porządny chłop; zresztą nie chciałem pana obrazić, mówiąc o pańskich wadach, tylko... jak się wypije. Dziś rano tak obojętnie pan mnie wyminął. Podlega się czasem takim nastrojom. Zapomnijmy o tym. Kupiłem tam trochę wina, może się napijemy i zagramy w karty?

Zgodziłem się skwapliwie. Te słowa są mi wygodne. Przed rozpoczęciem gry ucinyamy sobie jeszcze pogawędkę na wspomnieniach. Nic nadzwyczajnego. Szwendanie się po lokalach w nietrzeźwym stanie, dorywcze znajomości, słowem, dość ordynarne potraktowanie naturalnych uroków pięknej wyspy. W następstwach: zatrucie alkoholem i wstręt do własnego nieopanowania. Grą w karty podkreślamy powrót do normalnego trybu życia. Dzień jest posępny i schodzi na bzdurnych pogawędkach oraz na marnowaniu czasu parszywą, jałową grą w karty. Kapitan siada z nami do kolacji. Jest przepity, opuchnięty i stara się sztuczną wesołością pokryć świadomość głupstw, jakie prawdopodobnie porobił po pijanemu na łądzie. Rozstaliśmy się jednak jak ludzie świadomi swych niedorzecznych wyczynów. Czerwone kwaśne wino czułem w żołądku, jakbym je połknął razem ze szklanką. Na domiar gadulstwo pana De nie pozwalało mi usnąć. Nie nudziło i nie bawiło — irtowało. Mówił o tym, jak nieciekawe jest życie, i że są tylko dwie sprawy, dla których warto istnieć: władza i przyroda. Ciągle pytał: „No nie, czy nie mówię, jak jest?” Przystałem w końcu mówić: „Aha”...

20 LIPCA

Morze teraz jest już wprost przykre, ciska na pokład zimne bryzgi, słońce zginęło gdzieś w nudnej siwiźnie górnych odmętów, opadają nas przejmujące mgły i nawet praca ludzi wydaje się bezsensowna i niepotrzebna. Ciągle malują ten obolały ciągłym wycieraniem i obstukiwaniem okręt. Nawet pierwszy oficer łązi z pędzlem i puszką farby; wypatruje, gdzie by zamazać jakąś plamę. A plam jest bez liku i ciągle pojawiają się nowe. Tylko dwa koty przeładowane energią skręcają się w pomysłowych figlach, jak gdyby połknęły haczyki na wędkach. Nie zbliżam się nawet do nich, bo wpędzają mnie w apatię. Z Ukraińców pozostało dwóch, bo Iwaszko zaginął w Santa Cruz bez wieści i odjechaliśmy bez niego. Czuję się podłe z dwóch względów: po pierwsze; że tak jadę, a po drugie, że niesłychana ilość czasu nie pozwala mi wprost na zajęcie się czymkolwiek, bo świadomość, że potem znów będę miał czas, rozprasza jakąkolwiek inicjatywę. W ogóle dokuczają mi ci trzej faceci w białych kitlach, którzy się ciągle wysilają i kręcą w kółko, żeby nam dać na czas jeść i żebyśmy potem mieli czas do następnego posiłku. Kocie ruchy stewarda przemierzającego przestrzeń od kuchni do jadalni z półmiskiem dymiących kartofli, monotonne gesty wiecznie coś sypiących, mieszających, siekających kucharzy, ich poczucie

rzetelnego wywiązywania się z zadań i pogodna przyjaźń — przejmują wstrętem. Znowu mnie pochłonęła ta kleista vegetacja. Ten też znowu pogrążył się w pracy, cały dzień bębni na maszynie, coś kreśli, wymazuje. Znowu wyszedł na pokład z notatnikiem, rozgląda się i zapisuje. Zatrzymał się nawet chwilę przy kotach i też coś zanotował... Zrobił się małowówny i ma minę, żeby mu nie przeszkadzać. W tym idiotycznym opilstwie zapomniałem nawet sobie kupić coś do czytania. Cały dzień przeplatałem wylegiwaniem się na łóżku, krótkim spacerem, wtykaniem nosa w różne dziury, węszeniem atrakcji, i dalejże na łóżko: marzyć, rozmyślać o bredniach. Dziś w nocy mamy wjechać do Biscaye²⁴.

21 LIPCA

Nawet świadom byłem całą noc tego wjazdu w Biscaye. Przewalało mną w łóżku niby polanem. Księżyc świecił i w jego granatowym świetle kabina kłębiła się ponurymi kształtami sprzętów, pełna jęków, skrzypów i popiskiwań. W szafce brzęczały przesuwające się butelki, jakiś rondel szurgął za ścianą. Nade inną mruczał pan De: „Cholera, a to dopiero”... Nie chciało mi się z nim wszczynać rozmowy. Ponieważ przewracałem się z boku na bok i przewracało mną z boku na bok, więc kręciłem się w kółko. Czasem gwałtowne pochylenie dzioba okrętu wciskało mi głowę w poduszkę, to znowu nagły przysiad rufy unosił mi ją do góry. Czulem się, jak gdyby mnie w beczce spuszczano z jakiejś pochyłości. Naczynia za ścianą rozszczękały się na dobre, chrobotąło to i cieniutki głos szklanek wytwarzał niesamowitą kakofonię. Rano jak ślepiec, opierając się rękami o ściany, przedostałem się do łazienki. Wszystkie przybory toaletowe zgodnie zgromadziły się na dnie wanny. Nawet nie próbowałem ich ustawić na zwykłym miejscu, bo z półki zsunęły się nawet resztki proszku do zębów. Umyłem się wśród niebywałych trudności i zajrzałem do jadalni. Nasze maszyny do pisania, zeskakując ze stołu, ściągnęły za sobą pluszowe pokrycie. Teraz jak dwa oswojone zwierzątka drzemały obok siebie; jedna na boczku, druga do i góry brzuszkiem. Po prostu bałem się uchylić pokrywy, dopiero tak często przesładujący mnie od tyłu głos pana De: „Rany Boskie, a co to znowu!” — zmusił mnie do przykłonienia nad przyjaciółką. Ja swoją, a on swoją. Z wierzchu nic nie zauważyliśmy, jednocześnie wkręciliśmy świstki papieru — pisały. Spadły co prawda na dywan i podczas gwałtownego przechylenia zmniejszyła się odległość od podłogi.

— Nie, nie, proszę pana — wyjaśniam. — Odległość pozostała ta sama; podłoga też się pochyliła.

— A, racja... No, ale nie potłukły się.

Tak, tak! Te zdania, zaczynające się od „no”, zaczynały mi już dokuczać. Na okręcie w ogóle panował nastrój awantury, jak po jakimś bałaganie i przed następnym. Tej nocy palacz, wściekły od chwiejby, gorąca i z resztkami teneryfskiego katzenjammeru, wyszedł na pokład i przechodząc koło łazącej się Pessi, chwycił ją za kark i wyrzucił za burtę. W tej sprawie wybrałem się na górę do kapitana. Byłem wściekły na tę bezmyślną zbrodnię. Zaczął mi mętnie tłumaczyć, że z palaczami w ogóle trudno postępować i że co czas pewien napada ich małeńki obłądzik. Całą tę sprawę widział dyżurujący pierwszy oficer i już nawet sklął z góry palacza, który podobno miał taką minę, że oficer bał się zejść na dół.

Palacz porządkował sprzęty, ludzie umacniali obluźowane liny przytrzymujące komin, słowem — rechwach. Teraz morze nieco się uspokoiło, niby już szmaragdowe, ale ciągle wściekle. Świeci słońce, daleko widać jakiś statek; dzień wietrzny i niepokojący. Wszystko się porusza, zgrzyta i stęka, ludzie zataczają się przy robocie jak uparci pijacy. Tak cały dzień.

22 LIPCA

Dziś morze jest spokojne jak staw, woda zgęstniała jak papka i otacza nas dziwnie niemila cisza. Kapitan mówi, że gdzieś jest sztorm. Mam wrażenie, że znajdujemy się pod kloszem o mlecznych ścianach, tak równe koło oddziela nas w promieniu kilkunastu metrów od reszty świata. Stan taki trwa do dziewiątej rano i potem wylania się niezdarnie, jak z kłęba waty, różowe, niezdrowe słońce. W oddali to znika, to znowu się ukazuje barka żaglowa,

²⁴Biscaye — Zatoka Biskajska, położona pomiędzy północnym wybrzeżem Półwyspu Iberyjskiego a południowo-zachodnim wybrzeżem Francji. [przypis edytorski]

morze zaczyna się poruszać, po lewej stronie wyłonił się ceglasty stożek skalny, ukazują się kilka łodzi żaglowych, zaczyna się ruch na morzu — pojawia się jeszcze kilka okrętów. Usadowiłem się na dziobie i lornetuję. Rybackie żaglowce przybliżają się, widać nawet zamazane dałą postaci ludzi. Wpadam w melancholijne rozmyślanie nad sobą. Prawda to i wstyd mi, że tak ciągle zmieniam nastroje i mazgając się przy lada okazji Niewiele jednak mógłbym sobie wyobrazić sytuacji na łądzie, które by mnie wprowadzały w podobne zdenerwowania i podniecenia, jak mi się to często zdarza w tej kojącej — zdawałoby się — nerwy podróży. Myślę, że nie tylko sama *nuda* powoduje te przykre stany. Może raczej dziwaczna świadomość, że te wspaniałe widoki, cała uroda przestrzeni i słońca przez swą jednostajność pospolicieją, że wszystko się tak nużąco powtarza i zlewa w jakies bolesne „to samo”. I ten przymus wylawiania z dnia byle głupstwa, aby nie wyjałowić doszczętnie. Kilkakrotnie powtarzałem, że często ogarnia mnie przemożna ochota, aby wyjść i pójść. Mieć możność powrócić. To słowo w tych warunkach nie istnieje. Można powrócić do kabiny, do łózka, ale nie do tej ograniczonej całości, jaką jest okręt. To będzie ostatni raz. Nigdy już nie wybiorę się okrętem w dalszą drogę. Żadne luksusy, okręty-hotele nie skorcą mnie, o ile miałbym na nich dłużej przebywać niż kilka dni. Albo pan De! Co mnie zmusza, abym odkrywał jakies jego problematyczne wady, żebym przechodził chwile histerycznych nienawiści do spokojnego osobnika, któremu się podobają pewne rzeczy nie lubiane przeze mnie? Ten brak taktu u przeznaczenia, jakie nas tu skleiło ze sobą! Musiałem przejść cały proces nienawiści do innego człowieka, który tyle tylko zawinił, że się znalazł obok mnie w tych warunkach. O, macie go — już jest!

— Patrz pan, jak się tutaj zaroilo od tych stateczków. I co? Ale ta Pessi, powiedz pan tylko! Co temu smoluchowi padło na mózg! No, już niedługo.

Przyglądam mu się bacznie: jest... jest brunet, ma orli nosek, krzaczastą brew — zwyczajny mężczyzna z wąsikiem. Nie uczynił mi żadnej krzywdy, zachowuje się przyzwoicie... Jakie prawo mam wymagać od niego jakiegoś pobratymstwa dusz? Towarzysz podróży i nic więcej.

— Spójrz pan na te lódeczki, jak lupinki od orzechów. Całe morze jak torcik, jak mazurek, co? Ale nas w nocy wyhuštało, niech to szlag trafi! Dokąd to pan? Ładny przecież widok! A my zawsze w środku tego torcika, zawsze; w środ... ku... uu.

Byłem już daleko od niego. Natknąłem się po raz pierwszy na porządną kłótnię kucharzy. Błękitnooki wałkuje z pasją ciasto i wyrzuca z siebie jakies wściekle, metaliczne dźwięki. Jest purpurowy na twarzy, grdyka mu drga — poirytowany na dobre. Drugi flegmatycznie przesuwając jakimś koszmarnym widelcem kotlety na patelni. Swąd, wrzask, kotlety skwierczą — widać, za mało tłuszczu. Wchodząc do kabiny spotykam stewarda, który pochyła się, pokazując dłonią tuż nad podłogą, i jęczy: „Pessi!” Ma bardzo zmartwioną twarz. Przecież to była jego ulubienica. Jadalnia już uporządkowana, rozsiadam się i na gwałt doszukuję się defektu w maszynie. To są moje zajęcia. Około ósmej wieczór widzę z dziesięć okrętów na horyzoncie. Nie wiem dlaczego, ale sprawiają na mnie wrażenie upartych i zarozumiałych bestii. Odgłos maszyn podkreśla niejako nasz pyszny wjazd do kanału La Manche. Jakies brzegi drzemią w zastygłej i pąsowej dali. To Anglia!

23 LIPCA

Cały okręt zalakierowany, że już wprost chodzić nie można. Spodnie w białe i czarne placki. Na wodzie spokój, słońce bez wyrazu, wyblakłe i trupie. Parę okrętów wleczę się leniwie w kilku punktach dookolnej przestrzeni. Nagle zostaliśmy znów nakryci kłosem mgły, jak kawałek sera szwajcarskiego. Tylko teraz słońce przemycalo nikłą jasność, przez ten kaptur. I raptem w ciszy rozległ się żaloszny bek. Poruszyło mnie to bardzo. Aż tu nad głową ryknęła chrapliwie i paskudnie nasza syrena. Chwila ciszy i znów bek zaginionej owcy. Nieprzyjemnie. Jasne jest, że płyniemy zakapturzeni i po omacku. I tak ciągle, co kilka minut. Nasza syrena zanieczyszczca ciszę obrzydliwym, pełnym nikczemnej pychy — rykiem, a zaraz po niej odzywa się tamto świństwo.

— Żebyśmy się tylko nie napatoczyli na jaki okręt, bo to się zdarza — słyszę wiadomy głos z tyłu.

Tak do południa przekomarzały się dwa zalęknione durnie. Przez pokrywający nas czop przeciekło trochę mętnej posoki słonecznej, a reszta mgieł, kłębiąc się i rozpraszając

jąc, pierzchła w leniwej ucieczce. Ukazało się to, co subtelni ludzie nazywają roztoczą. Cichy i delikatnie zmarszczony obszar wodny. Uczuwało się bliskość lądu i wszystko to zrobiło się nagle jeszcze bardziej nieciekawe. Po prostu cicha woda. Farbowało ją niedbale obojętne słońce. Odbicie tych tandetnych uroków mogłem zauważyć w zachwyconych oczach pana De. Ten pejzażyk był w sam raz na jego gust. Gdzie się to podziało zbałwanione bogactwo przelewającego się pod sutym słońcem Atlantyku? Gdzie stada ryb latających, wypryskujących razem z pyłem wodnym spod prującego pyszny żywioł — okrętu? Oczywiście, pan De nie ogranicza się do urzeczonego spojrzenia. Mówi także:

— Oto morze, objęte miłosnym uściskiem brzegów, uspokojone, poddaje się delikatnej pieszczocie europejskiego słońca! Oto...

— Czy nie mamy żadnych rachunków po tej Teneryfie? — przerywam mu grubiańsko.

Bezczelny typ! Macha ręką, żebym mu nie przerywał ekstazy. Ponawiam to pytanie i kończę:

— Co panu jest?

— Och, panie Zbyszku, już wie pan, że doprawdy! No więc, no więc ma pan u mnie te dziesięć dolarów! Oddam je panu, tylko zmienię... patrz pan, przecież to jest msza, święta msza przyrody...

— Tu nie chodzi o pieniądze, tylko o sam fakt, kto komu jest winien, bo już nie pamiętałem tego! — zawołałem gniewnie.

— No już teraz pan wie, tylko na Boga, nie przerywaj mi, mój miły!

Tym „miły” zupełnie mnie speszył i odszedłem od niego, jak od czegoś niedobrego. Podbiegłem do suchki, jak do ratunku w nieokreślonym niebezpieczeństwie. Rozpoczęła się zabawa bez żadnych wstępów. Stałem na czworakach; oparła przednie łapki na mojej głowie i warcząc delikatnie, szarpała mi włosy zębami. Omal że sam jej nie gryzłem, tak mnie ożywiła. Potem rozpląszczyła się na moich kolanach i już w spokoju posuwaliśmy się w sennie ciszy po przekrwawionym od słońca szlaku. Było ciepło, do wody przyklepiały się plamy zmierzchu i morze pokwitło światłami sąsiednich okrętów.

24 LIPCA

Rano zaprosił mnie do swej kabiny na górze statku telegrafista. Wypiliśmy po kubku ciepłej malagi. Pokazał mi aparaty, wytłumaczył jak i co. We wszystko, co mówił, wierzyłem, choć nie mogłem sprawdzić. U tego nieszczęśliwego człowieka wisi nad łóżkiem fotografia ładnej dziewczyny. Powiada, że to jego narzeczona, i nie wie, co o tym myślę. Ma tutaj także trochę sztucznych kwiatów, dwa nieładne dywaniki i gipsową figurkę Herkulesa z globem na barkach. Rozmowa nam nie wychodzi, mimo że jest wyraźnie uradowany moją wizytą. Wspomina miłe chwile, jakie z pierwszym oficerem, bosmanem i ze mną spędził w Santa Cruz. Słucham tych nowin z zainteresowaniem. Tak — mówię w końcu — to było wesoło! A czy przypadkiem, przepraszam bardzo — nie mam tam jakichś finansowych zobowiązań wobec panów? „Ach, to głupstwo! Pan był oczywiście trochę tego... Sześćdziesiąt pesów! Załatwi pan to przy okazji! Może jeszcze wina?” „Dziękuję, dobre, ale trochę za słodkie. Już pójdę sobie. Miłe się musi panu tutaj czas spędzać?” „E, przyzwyczaiłem się”. Opuszczam go, pełen niewesołych myśli. A jeśli się okaże, że winien jestem kapitanowi tysiąc funtów szterlingów! A jeśli się okaże, że sprzedałem nie swoje auto? Podczas obiadu kapitan odpowiada mi ze śmiechem, żeśmy się w ogóle nie widzieli. Nawo moja, kiedyż się rozstaniemy na zawsze! Po obiedzie pan De proponuje mi odczytanie swego wiersza. Zgadzam się. Treść taka: statek na swych barkach unosi nie tylko nas, ale i myśli i marzenia nasze. Dlatego też poświęcamy je morzu, dzięki któremu statek istnieje, a także składamy podziękowanie statkowi, że nas szczęśliwie dowozi do ojczystych brzegów. Powiadam, że (znikczemiałem!) to jest wprost śliczne. „A wie pan, kiedy to stworzyłem?” — mówi zdławionym głosem autor. — „Wczoraj... wczoraj! Kiedy mi pan tak przerywał”. O! Czuję, że mi wszystko wybaczył i że kocha mnie. W rzadkiej harmonii rozgrywamy kilka partyjek. Przerwały nam grę dwa koty, które zdecydowanie wskoczyły jednocześnie na stół, jakby w jakiejś delegacji. Są markotne i bez żadnej inicjatywy. Zaraz zeskoczyły po tej wizytacji i wyszły. Wychodzimy na pokład, rozmawiając o Pessi. Pan De mówi: „Tego drania, palacza, to bym krajał w pasy i solą posypywał”. To

namiętne pragnienie wypowiedziane było z takim ogniem, że wprost zdawało się być bliskie spełnienia. Spacerujemy po dolnym pokładzie, jest jasno i letnio, nos odróżnia obce, lądowe wonie. Teraz po morzu płyną w kokietliwych drgawkach różne śmiecie, zwłaszcza deszczulki. Wygląda to jak symbol nieużytku. Popeniłem błąd, chwając wiersz pana De. Rozbudziłem widocznie jego muzę, bo oto trzyma mnie pod rękę i mówi o planach na przyszłość, zwierza się, słowem — jakież ja jestem nieostrożny! Muszę teraz mówić takie zdanie: „Wszelka twórczość rodzi się w boleściach, miej pan cierpliwość i przede wszystkim unikaj zwierzeń w tych kwestiach! Jeśli jest w panu ten ogień, to niech pan się nie zraża nieuznaniem, bo to do potomności należy”. Jasne jest, że popełniam łajdactwo, ale już wszelkie kłótnie z nim, te na cicho, i te na głośno, obrzydły mi i pragnę spokoju. Torturował mnie ze trzy godziny.

25 LIPCA

Ostatnie dni wyraźnie się skracają, a to na skutek ukazywania się lądu, okrętów, słowem — wjeżdżamy w pewne ożywienie. Rano zobaczyłem wystający z wody jakby ostrokół z wieżyczką i domkami w środku. Podobno nazywa się toto Helgoland²⁵ czy też podobnie. Telegrafista mówi mi, że to jest niemiecka twierdza, ale ja mu nie wierzę i nie będę tego sprawdzał, bo mnie to nic nie obchodzi. Obchodzi mnie raczej to, co widzę dalej. Tam są prawdziwe drzewa i pasące się bydło na polach. I stamtąd pachnie wszystkim tym, czym pachnie ziemia w lecie. Urzekł mnie wprost ten widok swoją istotnością. Na domiar głos dzwonu z kościółka sennie biegnie po wodzie. Jesteśmy na rzece Łabie. Jestem bardzo tym wszystkim przejęty. W ciszy i w silnie grzejącym słońcu wjeżdżamy do Kanału Kilońskiego²⁶. I nagle doznaję uczucia, jakbym już był na lądzie, bo po obu stronach okrętu, bliźutko — przesuwiają się dwie panoramy ziemi objętej łagodną ciszą lipcowego południa, z leniwym nastrojem tej pory roku. W tym wąskim korytarzu wodnym okręt nasz wydaje się teraz olbrzymem. Odszedł mnie nagle cały niepokój przebytej drogi i stało się to tak szybko, że myślę już o tym jak o czymś minionym, przesłoniętym czadem niepamięci. Mijające drzewa i łąki, upstrzone bydłem, zdają się uwidaczniać szybkość okrętu. Jazda robi się wesoła jak na spacerowym statku. Mija nas także rozśpiewany statek wycieczkowy, pokryty szarym mrowiem harcerek niemieckich, które pozdrawiają nas tysiącem powitalnych gestów. Ciemnieje, brzegi pokwitają światłami, słychać okrzyki spacerowiczów, otarliśmy się o grupę gwizdzących na puszczalkach skautów, z pól biją mocne zapachy, czuję na policzkach wypieki i biegam od burty do burty pełen nieopanowanych, radosnych uczuć. Odeszło mnie także coś, z czym się już poniekąd zżyłem; towarzyska tej nudnej odysei — tęsknota. I pozostało tylko radosne podniecenie, równie silnie niepokojące umysł, jak to wszystko, co minęło i — być może — wydawało się złem. Do północy siedziałem skulony na pokładzie, aż w końcu odurzony dusznymi zapachami, całym ekstraktem emocji *pourrotu*, zwałem się w łóżko.

26 LIPCA

W nocy staliśmy przez kilka godzin w Holtenu²⁷. Ślepy przypadek zdarzył, że pozostawiliśmy w miejscowym szpitalu palacza, tego od Pessi. Spadł z wysokości dziesięciu metrów na węgiel. Słońce jest dziś białawe i grzeje, a nie pali — jak tam. Płyniemy Morzem Północnym. Zupełnie nie zwracam uwagi, co się dzieje na statku, to już przestało być ważne. Zbliżamy się do...

27 LIPCA

O godzinie dwunastej wypiliśmy z kapitanem na pożegnanie. Taksówka zabrała nasze rzeczy, my wsiedliśmy do drugiej. Proces dojazdu do Gdyni, lornetowanie Helu i to wszystko, co podczas tego przechodziłem, pozostawiam sobie jako doznanie, którego

²⁵Helgoland — mała wyspa na Morzu Północnym, należąca do kraju związkowego Niemiec Szlezwik-Holsztyn. [przypis edytorski]

²⁶Kanał Kiloński — kanał łączący Morze Północne z Bałtykiem, zbudowany w latach 1887–1895, przebudowany i pogłębiony 1909–1914. [przypis edytorski]

²⁷Holtenu — dzielnica miasta Kilonia, które należy do kraju związkowego Niemiec Szlezwik-Holsztyn i położone jest nad Zatoką Kilońską. [przypis edytorski]

serce moje jest niepodzielnym właścicielem. W taksówce siedział obok mnie pan De, ale bardzo się oddalał. W wagonie restauracyjnym odgrywał rolę nie znanego mi bliżej osobnika. Gdybym pomieścił tutaj wszystkie jego okrzyki i zdania, sprawiłbym wrażenie człowieka, który się powtarza. Na dworcu warszawskim pożegnałem się z nim, jak gdybym go poznał właśnie w tym wagonie. Musiałbym się dobrze zastanowić, gdyby teraz ktoś zażądał duchowego określenia tego pana. Stukł mi się, jak nie pasujący do mego oka monokl.

Warszawa powitała mnie Konem lekko uchylającym kapelusza zza rogu Mazowieckiej, powitała mnie mdłym, zaściankowym wieczorem i strojną uliczką, przemierzającą ten szlak jeszcze „za ruska”.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/unilowski-pamietnik-morski/>

Tekst opracowany na podstawie: Zbigniew Uniłowski, *Żyto w dżungli. Pamiętnik morski*. Reportaże, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1981.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową w Warszawie z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Stawiarska, Aleksandra Sekuła, Kopec-Gryz, Maria Świetlik.

ISBN 978-83-288-6462-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).